

Logotyp 	Nazwa instytucji Muzeum Ustrońskie	
Tytuł jednostki / publikacji / fotografii „Listy spod morwy (Sachsenhausen – Dachau)”		
Ilość stron oryginału 98	Ilość skanów 99	Liczba plików publikacji 98
Autor Gustaw Morcinek	Wydawnictwo / zakład fotograficzny Księgarnia Polska w Paryżu 123.	Skan okładki
Miejsce wydania Paryż	Rok wydania / Data powstania sierpień-wrzesień 1945 r.	
Sygnatura ---	Rodzaj zasobu (np. zdjęcie, czasopismo itp.) książka	
Wymiary (wys x szer) 18,9 x 13,1 cm	Stan zachowania ---	Charakterystyka skanowanego obiektu zbiór 12 listów Gustawa Morcinka (1891-1958) do Władysławy Ostrowskiej, napisanych w sierpniu i wrześniu 1945 r. w miejscowości Biviers we Francji; autor – pisarz związany ze Śląskiem Cieszyńskim (głównie ze Skoczowem, ale również bywał w Ustrońiu) – w latach II wojny światowej osadzony był w niemieckich obozach koncentracyjnych, m. in. w Sachsenhausen i w Dachau, których wspomnień dotyczą listy; tuż po zakończeniu wojny listy wydała Księgarnia Polska w Paryżu (123. Boulevard Saint-Germain), w listopadzie 1946 r. G. Morcinek wrócił do Polski; adresatka korespondencji – Władysława Ostrowska z domu Hartwig, pochodząca z Warszawy nauczycielka języka polskiego, poznała pisarza w 1935 r., w okresie wakacji, które spędzała w Istebnej
Hasła przedmiotowe (okres historyczny, postacie, miejsce) lata 1939-1945 (II wojna światowa), Władysława Ostrowska z domu Hartwig, Gustaw Morcinek, Biviers, Sachsenhausen, Dachau, Paryż, Mauthausen, Gusen, Warszawa, Oświęcim		
Hasła tematyczne (np. miasto, przemysł, kuźnia, letnicy itp.) epistolografia polska, proza polska, wspomnienia obozowe, wspomnienia wojenne, listy, pisarstwo, korespondencja obozowa, II wojna światowa, obozy koncentracyjne, więźniowie obozów koncentracyjnych		
Prawa autorskie ---		

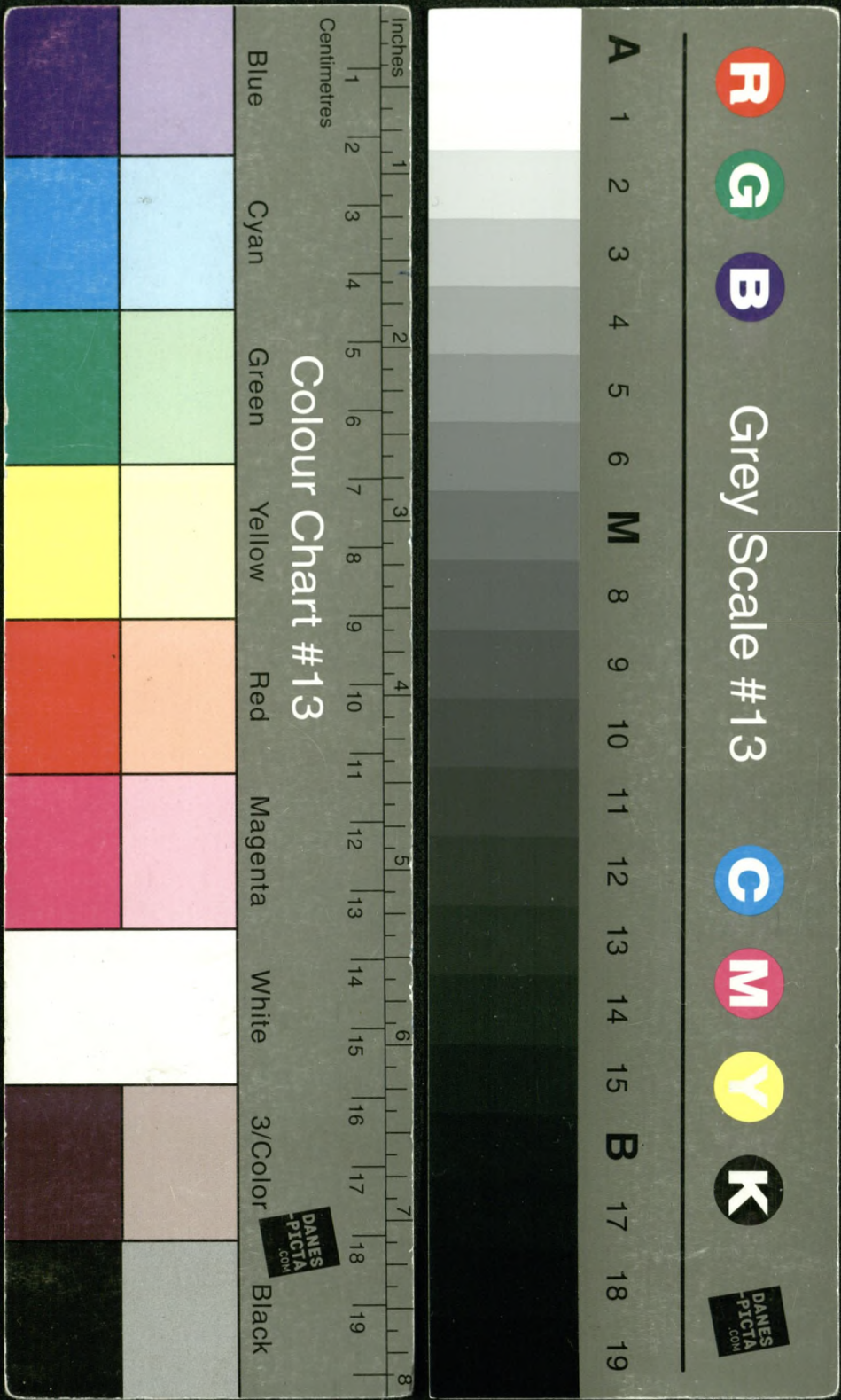
GUSTAW MORCINEK

LISTY SPOD MORWY

(SACHSENHAUSEN - DACHAU)



KSIEGARNIA POLSKA W PARYŻU
123, BOULEVARD SAINT - GERMAIN



H. O. Jarosz Tadeusz

LISTY SPOD MORWY



GUSTAW MORCINEK

LISTY SPOD MORWY

(SACHSENHAUSEN – DACHAU)



KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU
123, BOULEVARD SAINT - GERMAIN

Najmilsza Władko !

Ostatnie wiadomości o Tobie miałem od siostry swojej w grudniu ubiegłego roku. Dowiedziałem się tylko tyle, że przez dłuższy czas znajdowałaś się na Węgrzech, potem wróciłaś do Warszawy, a następnie znalazłaś się w Bunzlau na niemieckim Śląsku w jakiejś fabryce. Co się dalej działo — domyślałam się tylko. A więc pochód sowiecki wyparł Niemców ze Śląska, Bunzlau zajęły wojska sowieckie, a Ty rozpoczęłaś nową drogę do Polski.

U mnie było trochę inaczej. Przez 5 lat i 7 miesięcy przebywałem kolejno w obozach koncentracyjnych w Sachsenhausen i w Dachau. Potem przyszli Amerykanie, w dniu 29 kwietnia i przynieśli nam wolność. Wyostałem się do Francji, jakiś czas zatrzymałem się w Paryżu, a oto teraz znajduję się w Biviers pod Grenoble.

I stąd piszę listy do Ciebie.

W Biviers jestem już od kilku dni, jeszcze trochę oszłamiony wolnością i Paryżem, lecz powoli przychodzę już do siebie. Z nikim jeszcze się tutaj nie oswoiłem. A raczej zdołałem oswoić się z małym, żółtym kotem, który przyszedł do mnie podczas obiadu i domagał się tyciuchnego kawałka czegoś dobrego do zjedzenia. Poza tym przyszedł do mnie jakiś pies włóczęga i również się ze mną zaprzyjaźnił. Ludzie, których tu zastałem, są dla mnie bezwyrazowi. Nie ma ich dużo i — jak mi się wydaje — wszyscy są podobni do kotów Kiplinga, gdyż wszyscy chadzają tutaj własnymi drogami. Tym lepiej dla mnie.

Przede mną wynoszą się pod niebo jakieś ogromne góry bez nazwy. Już się bowiem kilku pytałem, jak się nazywają, lecz nikt nie umie nawet powiedzieć, że to Alpy. Widać ludzie mają tutaj ważniejsze zmartwienia, aniżeli zastanawianie się, jak się tam jakieś góry nazywają.

Alpy są ogromne. Alpy są tak ogromne, jak niebo, a które jest błękitne, jak niebo nad moimi Beskidami na Śląsku, i takie czyste jak u nas. Alpy są groźne, podobne do nachmurzonego olbrzyma, który sięga głową pod błękitny

strop i przeżuwa jakieś ponure myśli. Jak człowiek, który obmyśliwszy zemstę czy coś podobnego. Miejscami w żłobach bieli się jeszcze śnieg. Wieje od niego chłodem i obcością. Idące chmury po niebie ocierają się o granie i przemieniają w strzępy. Dopiero w połowie stoku zielone połoniny plawią się w słońcu i to jest ogromnie piękne i wzruszające.

Pode mną rozłożyła się ogromna dolina, w której jest bardzo dużo słońca. Przez dolinę leci Isère, jakaś ciemna i jakby nadąsana.

Kiedy siedzę pod starą morwą przed domem i wsłuchuję się w ciszę, zapominam o wszystkim, co już poza mną. Nawet o Paryżu zapominam, o którym przecież nieraz marzyliśmy, jako o mieście wielkiej, radosnej przygody. Pozostaje mi teraz w wspomnieniu, jako skłębione wirowisko krzyku, pośpiechu, łatwej miłości, licznych ust malowanych w drobny kształt serca, ciężkiego zaduchu métra, bezradnego błakania się po ulicach, bełkotu Amerykanów i długich kuciek chleba o twardych skórkach, chrupiących w zębach. Ow widok chleba w Paryżu najbardziej mnie wzruszał. Może dlatego, że tego chleba było zawsze tak mało, tak strasznie mało w obozie. Że ludzie w obozie upadali się do ostatka, by zdobyć chociażby najmniejszą drobinę chleba. Za ten kawałek chleba gotowi byłiby nawet zamordować kolegę, byleby tylko nie cierpieć głodu. Głodny człowiek w obozie radował się podświadomie, że został wybrany do wynoszenia rozstrzelanych skazańców do krematorium. Wybrańcy stali za wałem, a z drugiej strony dokonywała się egzekucja. Na dzieciach, kobietach, mężczyznach. Pospólnie. Działo się to zawsze o świcie. W pewnej strasznej chwili rozszczękał się na krótko karabin maszynowy i już było po wszystkim. Wybrańcy, pędzeni krzykiem, rzucali się na zwał dogorywających i martwych już ofiar. Każdą ofiarę musieli rozebrać do naga i ciało powlec biegiem do krematorium. Niektóre ofiary jeszcze żyły. Jeżeli to był mężczyzna lub kobieta, stojący przy drodze „esman” dobijał ich drągiem. Uderzył mocno w głowę, i głowa rozłupała się. Jeżeli to zaś było dziecko, a jeszcze rzucało się na plecach wybrańca, inny „esman”, stojący obok krematorium, ujmował je za nogę i uderzał głową o ścianę. Ściana była obryzgana krwią i mózgiem. A droga od wału do krematorium była również znaczona krwią i mózgiem. To było wszystko straszne, lecz potworność owych zbrodni usuwała się w świadomości wybrańca na drugi plan. Bo podczas zdzierania ubrań z ofiar, w niejednej kieszeni

marynarki lub nawet w torebce damskiej znalazło się kawałek chleba !... O Chryste Boże !... Kawałek chleba !...

Tak, Paryż pozostaje mi teraz w wspomnieniu, jako niezliczona ilość długich kukieł chleba o skórkach twardych, tak dziwnie chrupiących w zębach !...

Tutaj usiłuję zapomnieć o chlebie w Paryżu, o wszystkim, co już jest poza mną. Nawet o Dachau.

Co się na dalekim świecie dzieje, nie wiem. Nawet nie chcę wiedzieć. Na szczęście ludzi tutaj mniej wiedzą, niżby się wydawało. I słusznie ! Po co zaprzętać sobie głowę, kiedy ta głowa jest już i tak dosyć skołatana ! Czas temu zresztą sprzyja. Tutaj bowiem jest inny czas, aniżeli w Paryżu. Rozleniwiony, cichy, idący krokiem małego dziecka, pachnący przestrzenią. Odnosi się wrażenie, że czas ów co raz przystaje, rozgląda się i słucha. Jak człowiek, który wyszedł w pole i wie, że go nikt nie czeka, że ma strasznie dużo czasu. Co raz schyli się, żeby zachwycić się jakimś niesłychanie wielkim cudem, dostrzeżonym w istnieniu kwiatka bez nazwy, lub w życiu jakiegoś robaczka również bez nazwy, przejdzie kilka kroków, przystanie, popatrzy w błękit nad sobą, rozglądnie się, uśmiechnie do szumu nadlatującego wiatru, pogłaska zamyśloną dłońią kłosa zboża i znowu idzie powoli, gdyż ma czas...

Tu jest więc inny czas, aniżeli w Paryżu, a przede wszystkim inny, aniżeli w obozie koncentracyjnym w Dachau. Tam były najpierw druty kolczaste, a dopiero za drutami był człowiek w czasie. Człowiek był tylko takim a takim numerem, czas natomiast był długi, tak strasznie długi, bolesny, nie kończący się, mierzony nie godzinami, lecz sercem, zmęczoną myślą i parszywym lękiem przed śmiercią. Śmierć zaś chadzała wokoło, ocierała się o nas, jak pies cuchnący, owrzodziały... Jeżeli codziennie patrzeć jej w zaropiałe ślepie, jeżeli widzieć, Władko, jak codziennie pożera tlejące istnienia ludzkie, jak człowiek w obozie konał pod ścianami baraków, na placu apelowym, w barłogu podczas snu nocnego, podobny już nie do człowieka, lecz do czegoś, na co się nie ma określenia w ludzkiej mowie, podobny raczej do rozdeptanego robaka — jeżeli więc codziennie patrzeć takiej śmierci w oczy, czas stawał się tak wielkim okrucieństwem, że — wydawało się — jedynie szatan mógł go wymyślić.

Czas był dotąd dla mnie pojęciem abstrakcyjnym, tutaj zaś stawał się czymś realnym, ujmowanym zmysłami. Gdyby było w ludzkiej mocy pojęcie czasu w obozie ująć w namacalny kształt geometryczny, stałby się widokiem splecionych

drutów kolczastych, zmierzwionych w dużą kulę, a która ocieka krwią, i z której wyziera strach, najbardziej upokarzający strach przed takim samym skonem, jakim kona bezdomny pies.

W Dachau były nieziemsko piękne wschody słońca. Bywały poranki szare bez światła i bez gwiazd lub poranki mleczne o bladym błękitcie. Lecz często bywały takie poranki, podczas których wschód słońca przemieniał się w najbardziej fantastyczną bajkę kolorową. A myśmy szli piątkami i szli, niańczący każdy swe obolałe myśli, obok nas kroczyli zaś strażnicy z psami na smyczy i z karabinami trzymanymi w pogotowiu do strzału. Wtedy zapominalśmy na drobną chwilę o wszystkim, bo każdy z nas był zapatrzony w ten ten kolorowy cud na niebie i każdy z nas wyobrażał sobie, że nie on jest w czasie, lecz że czas jest w nim. Podobnie, jak w naszych oczach był cud wstającego słońca.

Potem wszystko zniknęło, a na miejsce tamtego kolorowego wzruszenia wracało obmierzłe i bolesne przeświadczenie, że czas — to kullisty kłęb kolczastego drutu, z którego cieknie krew rudą nitczką, a spośród jego kolców wyziera przekłety strach o życie.

Czas człowieka w obozie musiał być podobny do czasu, jaki przeżywa skulony człowiek w schronie, kiedy słyszy rosnący szum bomby, zrzuconej spod nieba. Myśmy chyba wszyscy słyszeli ów szum. I Ty też, Władko...

W Biviers, jakby zagubiony wśród Alp, stałem się oto świadkiem radosnych narodzin innego nowego czasu pod starą morwą. Pamiętam go sprzed wojny w naszych Besk dach. Wiatr spada w tej chwili ze stoku Alp i szumi w starej morwie, podobnie, jak nam szumił w beskidzkich lasach. I wydaje mi się dzisiaj, że to nie wiatr szumi nade mną, lecz że to inny, nowy czas szumi, że się przelewa ogromną falą, a ja zatopiony w nim, pozwalam się nieść jemu bezwolnie. I wiem jeszcze, że zapominam w nim o wszystkim, co już jest poza nami. Że zapominam przede wszystkim o pragnieniu zemsty.

Tak długo bowiem narastało w sercu ludzkim owo pragnienie, że w końcu nie pozostało miejsca na inne uczucia. Człowiek w obozie kładł się do snu, wyszeptując skrycie słowa pacierza, a słowa te były powiązane owym pragnieniem, jakby paciorki różańca skrwawioną nitką. Pragnienie zemsty zaćmiewało nasze oczy, zabijało nasze serca, rozęgało płomień w myślach, tłumilo nawet radość na widok naszego dziecka niemieckiego, które podchodziło do mnie nieśmiało z wiązanką pełnych kwiatków. Rodziło pragnienie plunięcia

w twarz tej młodej dziewczynie niemieckiej, która miała dla mnie po drodze uśmiech dobry i współczujący... Pragnienie zemsty było tak wielkie, że nie zachnąłem się nawet wtedy, kiedy młody ksiądz katolicki, mój współtowarzysz obozowy, z pasją wykrztusił życzenie, żeby mordować nawet ten płód w łonach niemieckich matek !...

Dzisiaj zapominam już o wszystkim, co poza mną, i zapominam również o tamtym pragnieniu zemsty... I błogosławię tę radosną, uzdrawiającą ciszę, która idzie do mnie z błękitu, jak uśmiech kogoś ogromnie dobrego. Jak uśmiech matki !...

Najmilsza Wiadko !

Mogę godzinami stać w oknie lub godzinami siedzieć pod starą morwą i patrzeć z uwielbieniem w tamten ogromny, spiętrzony masyw Chaine de Belledonne, wynoszący się pod niebo po drugiej stronie słonecznej doliny Isère. W poprzednim liście nie wiedziałem jeszcze, jak się nazywa ; dzisiaj już wiem.

Po czarnej, strzaskanej grani Rocher de l'Homme czy Grand Pic Belledonne wędrują chmury, w olbrzymim półkolu Cirque du Boulon skrzy się lodowiec, a ponad nimi wgłębia się błękit tak bardzo czysty i tak bardzo nieskończony, jak myśl o Bogu. W ich obliczu wszystkie sprawy świata i człowieka maleją do niepoznaki, serce zaś ogarnia zbożne wzruszenie i dziwnie radosna pokora.

Z błękitu spływa cisza i nieskończoność, a ze stoku Belledonne spada drobny wiatr i trzepoce się w liściach morwy. Od czasu do czasu zrzuci mi słodki jej owoc w kształcie małej, miękkiej, żółtawej szyszki, która smakuje, jak wspomnienie pierwszych całowanych ust dziewczęcych. Rudy kot ociera się o moje nogi, mruczy i domaga się pogłaskania po grzbiecie, a pies-włóczęga wspiera głowę na moich kolanach i patrzy w moje oczy mądrym, ludzkim spojrzeniem. A gdy się napatrzy do syta, odchodzi powoli, z taką miną, jakby chciał powiedzieć :

— Nie martw się, bo jutro znów przyjdę...

Ja też wcale się nie martwię, bo wiem, że przyjdzie. Raduję się zawsze z jego przybycia, podobnie jak raduję się z obecności kota, pragnącego się bawić ze mną, bo obydwaj zdawają się być mi miłszymi, aniżeli ludzie. Widać, jeszcze

za głęboko tkwi we mnie niechęć do tych, którzy mnie skrzydzili, bo nie mogę znieść obecności osób, które w mym mniemaniu posiadają pewne cechy obmierzłe lub przynajmniej niemiłe dla mnie.

Może ich krzywdzę, nie wiem.

Wieczorem wychodzę na stromy stok, podchodzący pod urwistą ścianę skalną, zamykającą naszą dolinę od północy. Na stoku stoi samotna jabłoń i błąka się zapach siana. Urzeczony oczy lecą spod jabłoni na drugi kraniec świata zamknięty masywem Belledonne, a serce słucha znowu tej dziwnej ciszy coraz głębszej i coraz słodszej. Isére rozwleka już zmierzch po dolinie i szumi stłumionym szeptem, a tamte olbrzymy górskie płoną jeszcze długo w odchodzącym słońcu i jeszcze wyżej sięgają nieba. Cisza staje się ścicha dzwoniąca, prawie namacalna, poprzetykana zabłąkanym szczeniem psa w dalekiej wsi w dolinie. Czasem zakwili sennie jakiś ptak w gęstwinie, a czasem rozsypie się metaliczny głos dzwonu na Anioł Pański. Głos jest daleki, jakby na palcach idący, schodzący z kamiennej wieży góralskiego kościółka.

Pamiętam, u nas na Śląsku nie mówiono, że dzwon bije na Anioł Pański, lecz że woła na klęknięcie. Wtedy moja matka istotnie klękała i odmawiała Anioł Pański.

Potem cisza stokrotnieje, a szczyty powoli gasną i czernieją. Myśli zaś przemieniają się stopniowo w tamtą ciszę i układają bezwiednie w proste, jakby na klęczkach szeptałe słowa: — Ojciec nasz, który jesteś w niebie...

Tak! Tamtych niemiłych dla mnie ludzi istotnie krzywdzę!...

Przypomina mi się książka p. t. „Dzieje duszy” o świętej Teresce od Dzieciątka Jezus. Książka zabłąkała się do naszego obozu w Dachau wraz z tysiącem innych książek, od różnych „Pamiętników prostytutki” począwszy, a skończywszy na Piśmie świętym. I podobnie jak Urke Nachalnik czy Pitigrilli, Sienkiewicz lub Słowacki, wędrowała od bloku do bloku, od rąk do rąk, czytana ukradkiem i nienasycenie. W książce tej znalazłem takie słowa świętej Tereski: „Prawdziwa miłość polega na znoszeniu wad i błędów naszych bliźnich, polega na tym, aby nie dziwić się ich niedoskonałościom, lecz budować się każdym najmniejszym objawem cnoty”.

Dobrze już, dobrze! Wracajmy do książek!

Jak wspomniałem, do naszego obozu zabłąkało się tysiące polskich książek. Kiedy się pojawiła po pierwszy raz, wywołała radosne zdumienie i niepokój. Skąd tu się wzięła? Jak

tu się przedostała? Gdzie ją ukryć, by jej „esman” nie spostrzegł? Potem pojawiały się inne książki, prawie codziennie, wynurzały się nieoczekiwanie z tłumu, dostawały do czyichś upatrzonych rąk, znikwały za pazuchą i zanoszone na blok, stawały się przedmiotem radości, targów, zazdrości, słodkiego niepokoju i szarego lęku, by przy rewizji szafek nie dostała się w ręce „esmana”.

Wyszukiwano więc przemyślnie skrytki pod siennikami, w poduszkach, w słomie, pod deskami podłogi, nawet w ustępach, w otworach kanalizacyjnych, noszono ją z sobą do pracy, czytano ukradkiem, łakomie i wciąż z obawą, by z nią nie „podpaść”. Chodziło bowiem nie tyle o bolesną i upokarzającą karę, ile o stratę tak drogocennej zdobyczy. Poza tym taka książka posiadała jeszcze drugą wartość, powiedziałbym — handlową. By ją bowiem móc otrzymać poza kolejką, było trzeba właścicielowi złożyć opłatę. Opiata zaś składała się z kawałka chleba lub z kilku papierosów. A to było dużo, to było bardzo dużo!

Przez dłuższy czas nikt po prawdzie nie wiedział, skąd te książki do nas przychodziły. Wtajemniczeni milczeli lub zbywali półsłówkiem. Z czasem jednakże wszystko wyszło na jaw. Nawet dla „esmanów”, ba nawet dla samego „Raportführera”, jednego, drugiego czy trzeciego, stało się wiadomym, że książki te przemycają więźniowie polscy, pracujący w t. zw. „Parteikanzlei” w Monachium, a gdzie mieściło się Gestapo. Więźniowie ci, przeważnie młodzi chłopcy, sprząтали, zamiatali i myli podłogi w biurach. I pewnego dnia, kiedy znosili akta Gestapo do głębokich podziemi celem zabezpieczenia ich przed skutkami częstych nalotów, odkryli w odległym skrzydle podziemia liczne skrzynie, ułożone pod sufitem. Rozbili pierwszą z brzegu w nadziei, że znajdą w niej butelki z winem lub koniakiem. Ku swemu rozczarowaniu spostrzegli, że w niej książki. Rozbili więc drugą i trzecią skrzynię! W każdej książki!... I do tego polskie!... Niektóre zupełnie nowe i jeszcze nierozcięte, inne zaś mocno już sfatygowane, poplamione, z oślimi uszami, z uwagami na marginesach, a każda z nich zaopatrzona w pieczętkę jednej z licznych publicznych wypożyczalni lub bibliotek warszawskich.

I rozpoczęła się najpiękniejsza w obozie „organizacja”.

Dotychczas bowiem „organizowano” buty „esmańskie”, skórę, sukno na czapki, bieliznę z wojskowych magazynów, chleb i margarynę z kuchni również „esmańskiej”, papierosy i koniak z transportów włoskich po „zdradzie” Badoglio, skarpetki i chusteczki do nosa, swetry i zapalniczki, lampki

radiowe, potrzebne tym, którzy parali się z narażeniem własnego życia budową tajnych odbiorników radiowych, organizowano lekarstwa dla kolegów, ba nawet wodę kolońską dla t. zw. izbowych i szefów bloku, słowem organizowano wszystko, co mogłoby posiadać wartość w obozie, a za co możnaby otrzymać kęs chleba lub garść papierosów.

— Jak się ksiądz na to zapatruje? — zapytałem raz jednego z licznych księży polskich, dzielących naszą dolę w obozie.

Ksiądz uśmiechnął się i rzekł po krótkim namyśle:

— Panu chodzi o wartość etyczną „organizacji”. Uważam, że tego nie można podciągać pod pojęcie czynu nieetycznego. Grzechem, i to ciężkim grzechem będzie kradzież czegokolwiek, a zwłaszcza chleba swemu koledze. To będzie grzech ciężki!.. Lecz „organizacja”?.. Nie, to nie jest grzechem!.. Przecież wszystko to, co bywa przez nas, a nawet przeze mnie „organizowane”, pochodzi z rabunku, dokonywanego przez Niemców w całej Europie. A co nie z rabunku, to zawsze z tego, co Niemcy posiadają kosztem naszej wolności, katuszy i śmierci naszych kolegów. Pan korzysta z takiego „zorganizowanego” swetra czy bielizny, by się uchronić przed zimnem czy zawżeniem, a więc pośrednio przed śmiercią. Ja korzystam z „organizowanego” kartofla, margaryny czy chleba, bo mi grozi śmierć z zagłodzenia. I tak dalej. Nie pochwalam jedynie sprowadzania do obozu „zorganizowanej” wódki, bo wywołuje nietylko samoupadanie się, lecz niszczy do reszty wycieńczony organizm naszego kolegi!.. Widzi pan — dodał jeszcze po chwili — my tu wszyscy żyjemy w innych warunkach, aniżeli moglibyśmy żyć na wolności. A warunki te upraszczają naszą etykę i sprowadzają do jakiegoś prymitywu. Na to nie ma rady!.. Gdy będziemy na wolności, co daj Boże, wtedy będziemy mogli znowu rozszczeptać włos na czworo!.. My wszyscy w obozie jesteśmy ofiarami ludzi, którzy pogwałcili i którzy gwałcą świadomie prawo Boskie, naturalne i ludzkie... Lecz o tym kiedyindziej! Ma pan kawałek chleba?..

Rozpoczęła się więc najpiękniejsza w obozie „organizacja”.

Bardziej czytani koledzy, o pewnych wymaganiach etycznych i estetycznych, dokonywali selekcji książek i przynosili Żeromskiego, Sienkiewicza, Prusa, książki teologiczne, poezje. Inni również czytani, lecz bez większych skrupułów natury moralnej czy estetycznej, dostarczali książek o treści mniej lub więcej pornograficznej, częstokroć zamaskowanej

tytułem rzekomo naukowym czy opatrzonej nazwiskiem autora, który w pewnych kołach czytelników w Polsce uchodził za pisarza modnego i sławnego. Książek tego rodzaju było najmniej i to przeważnie w tłumaczeniu na język polski, a wydawanych przez firmy wydawnicze w Polsce, w których żaden szanujący się pisarz polski nie wydałby swojej książki. A ostatni rodzaj „organizatorów”, to byli prawie analfabeci książkowi, którzy „lecieli” na jaskrawo kolorowe okładki lub na sensacyjne tytuły. Lecz i tych książek było również mało.

Całe to t. zw. „Kommando” wyjeżdżało do Monachium wcześniej rano, a wracało późnym wieczorem. Do obozu wchodziło przez główną bramę, gdzie „esmańska” służba wartownicza sprawdzała ilość wracających. Chodziło bowiem o stwierdzenie, czy nikt podczas pracy nie uciekł. Często-kroć takie wracające „Kommando” zatrzymywano w bramie i poddawano gruntownej rewizji. Wszyscy więźniowie musieli podnosić ramiona, a „esmani” przeszukiwali ich kieszenie, obmacywali dokładnie, często kazali im rozbierać się do naga, inni zaś odpruwali podszewki ubrania, rozcinali zakładki marynarek, słowem rewidowali tak dokładnie i z taką radosną gorliwością, że nawet igły nie byłoby można przemycić do obozu.

Jeżeli takiej rewizji poddano „Kommando” pracujące w „Parteikanzlei” w Monachium, to już z góry można było być przekonanim, że będzie „wsypa”. I bywała. Kto sprytniejszy, wyrzucał książki po drodze, zanim doszedł do bramy. Lecz tu było trzeba posiadać pewnego rodzaju wyczucie, trzeba było umieć odgadnąć grożące niebezpieczeństwo po takich oznakach, które innemu uszły uwagi. A oznaki te były tak nieuchwytnie, że jedynie ktoś o nadzwyczaj zaostrozonym zmyśle obserwacyjnym mógł je zauważyć. Człowiek stawał się tutaj podobnym do tropionego zwierza, kierującego się tylko instynktem.

U kogo znaleziono książkę, ten był karany. Albo wisiał na słupku, albo otrzymał 25 podwójnych batów. Egzekucji dokonywali „esmani”. Nikt z nich nie taił, że funkcja ta sprawia mu ogromną przyjemność. Poprzednio jednak skazaniec musiał poddać się oględzinom lekarskim, które polegały jedynie na stwierdzeniu, czy skazany na słupek nie posiada ran na kiści, skazany zaś na baty — czy skóra na łądwziach nie jest owrzodziła lub pocięta i niezagojona po poprzednich razach.

Która z tych kar była boleśniejsza, trudno osądzić. Skazanemu na słupek wciągano na ręce stare sparpetki, a kiście

wiązano z tyłu łańcuchem o drobnych ogniwach. Koniec łańcucha przerzucano przez duże ogniwo, utwierdzone na szczycie wysokiego słupa. „Esman” ujmował ów koniec i podciągał ofiarę w górę. Chodziło o to, by skazaniec nie mógł wspierać się palcami nóg o ziemię, nawet wtedy, gdy wyprężone ciało mogło się w ciągu trwania karni obniżyć o kilka centymetrów.

Delikwent przechodził ogromne męki. Cały bowiem ciężar ciała spoczywał na wykręconych w górę ramionach, łopatki wychodziły powoli ze stawów, a równocześnie łańcuch ścisnął kciście tak mocno, że jeszcze długo po egzekucji, przez kilka a nawet przez kilkanaście dni traciło się władzę w palcach i nie można było podnieść ramion w górę.

Rząd zwisających ciał przedstawiał potworny widok. Były podobne do worków, zawieszonych na słupach. Ramiona wykręcały się coraz boleśniej, ludzie stękali lub zaczęli krzyczeć, potem wyć, pot spływał po wykrzywionych twarzach, oddechy świszczwały, a „esmani” chodzili koło ofiar, bili wyjących po twarzy, pociągali ich za nogi, kopali lub uderzeniem pięścią w piersi wprawiali zwisające ciało w ruch wahadłowy, szczuli psami, a kto zemdłał, oblewali zimną wodą.

Był okres, że „esmani” posiadali małpkę, którą zabierali z sobą i rzucali ją na zawieszonych więźniów. Małpka, straszona batogiem, skakała po nich, czepiała się ubrań, huśtała na ich zwisających nogach, a „esmani” ryczeli z uciechy, zaśmiewali do łez i bili się dłońmi po udach z wielkiego ukontentowania.

Po godzinie takiej karni spuszczano więźniów ze słupka, a ci najczęściej zwałali się na podłogę, nie mogąc się podnieść ni ustać na nogach. Wtedy „esmani” mieli nową zabawę, bo tak długo kopali i okładali razami skazańca, że ten na czworakach musiał się w końcu wyczołgać poza miejsce karni, lub go też zabierali pielęgniarze i odnosili na rewir (do lazaretu), gdzie albo przychodził do siebie, albo też konał.

Bicie bykowcami na koźle w wypięte pośladki było prostsze. Skazaniec wsuwał stopy w specjalne wgłębienia, uniemożliwiający mu rzucanie się, przechylał się na długi blat kozła, jeden z „esmanów” przysiadł mu wyciągnięte ramiona, dwóch stawało po każdej stronie kozła i na komendę zaczęło się bicie. „Esmani” bez bluz, z zakasnymi rękawami koszul, ujmowali mocno bykowiec w dłoń i biorąc szeroki zamach uderzali z podskokiem. Równocześnie z obu stron. Ude-

rzenie było suche, podobne do kłaśnięcia dłonią o metal. Skazaniec musiał sam liczyć każde podwójne uderzenie. Kto zmylił, bicie zaczynało się od początku. Kto nie mógł się opanować i krzyczał, posypały się już teraz razy bez liczenia, długie, szybkie, aż do zmęczenia się oprawców.

Po ukończonej egzekucji więźniów opuszczał spodnie, a jeden z pielęgniarzy zalewał mu jodyną rany na pośladkach. Poprzednio musiał jeszcze podejść do komendanta obozu, rozpartego w głębokim fotelu i przypatrującego się z lubieżnym zadowoleniem egzekucji, wyprężyć się służbowo i zameldować przepisowo o poniesionej karze.

Wszystek ów skomplikowany przebieg znęcania się „esmanów” nad więźniem w obozie był wynikiem głębokiej znajomości psychologii człowieka u twórców owej metody, i wynikiem specjalnego tresowania dobranych ludzi, którzy — podobnie jak tresowane psy — przechodzili odpowiednie przeszkolenie i zaprawę w niszczeniu człowieka. I częstokroć ludzie ci prześcigali swych nauczycieli. Stawali się po prostu mistrzami o niezwykłej precyzji w uderzeniu pięścią w serce, w kopnięciu butem w goleń, w powaleniu najsilniejszego człowieka na wznak jednym tylko uderzeniem kantem dłoni w oczy, w policzkowaniu, i w takim skoku na klatkę piersiową, by mogła załamać się z chrzęstem. Nabierali takiej wprawy w duszenie swej ofiary, że wystarczyło tylko lekkie naciśnięcie butem pałki, położonej na jej krtani, by zdławić życie. Oto przystąpił jeden koniec pałki, drugi jej koniec nacisnął nogą, a człowiek już charczał i rzucał się w agonii, jak ryba wyjęta z wody.

— Nie potrzebuje chodzić do dziewczki — zwierzył się raz na naszym bloku pijany „Blockführer” — bo mnie wystarczy, kiedy widzę konającego człowieka pod swoimi butami!...

Fizycznemu niszczeniu życia ludzkiego towarzyszyło wyrafinowane a powolne zabijanie godności ludzkiej. Chodziło w tej metodzie o to, by do tego stopnia zniszczyć ją w swej ofierze przez stałe upokarzanie, począwszy od pasiastego ubrania, a skończywszy na zmuszaniu więźnia do zjadania własnego łajna, by w końcu ofiara ta nie czuła się niczym więcej, jak najpodlejszym robakiem, imitacją człowieka, wyżyłą wszelkich uczuć i pragnień duchowych.

Widzisz, Władko, list mój miał mówić o książce, a tymczasem zszedłem z nim na tak ponury temat. Lecz jam temu nie winien. Wszystko tamto zło ludzkie za głęboko przeżywałem, by z tych wspomnień otrząść się i zapomnieć.

Mimo wszystko, mimo tej dziwnej ciszy koło mnie, a w której — zdawałoby się — wszystko idzie w niepamięć, wystarczy najdrobniejsze skojarzenie myślowe czy uczuciowe, by serce zalała ruda pożoga!

Musisz mi więc, Dziewczyno, przebaczyć. A ja za to wracam do przerwanej opowiadania o książce.

A więc to było tak:

Książka polska w obozie stała się teraz jedyną ucieczką od koszarnej rzeczywistości. Szukano w niej zapomnienia chociażby na tę krótką chwilę, jak długo wykuskiwano z niej literki. Szukano w niej ucieczki od wszystkiego, co wokół nas niszczyło godność ludzką. Czytający zamykał się w sobie — że tak powiem — na siedem tajemnych pieczęci i stawał się podobnym do latarnika Sienkiewiczowego czy do pułstelnika w nieprzebytej puszczy, zapatrzonego w zdumieniu we własne myśli. Inny zasię widział się jakby odgrodzonym od świata zbrodni, zamkniętym w wieży z kości słoniowej, lub też wyodrębniał się od zbrodniczego pospólstwa niemieckiego wyniosłym i pogardliwym *splendid isolation*, doprowadzającym „esmanów” do bezsilnej wściekłości.

Przede wszystkim jednakże książka przynosiła nam słodką uludę wolności. Wszak wolność była naszą najserdeczniejszą tęsknotą, dopraszana u Boga w modlitewnych szepcACH, omawiana bez końca podczas bezsennych nocy, przy pracy, wszędzie i zawsze.

Ta prosta, częstokroć niedoceniana książka polska czyniła dziwne cuda. Oto splute, sponieiwane serce ludzkie rozkwitało w nieoczekiwanej godzinie wielkim płomieniem, zgaszone oczy rozpały się żarem, człowiek zmęczony do ostatka, częstokroć już tylko szkielet ludzki, trup żywy, podnosił nad nią głowę, prostował się i uśmiechał do swych myśli takim uśmiechem, jakim tylko dziecko potrafi uśmiechać się do przydrożnego kwiatka. A jeżeli na rękach ukazała się cudaczna iza, zbierał ją niezgrabnie wierzchem dłoni i mruzczał na uniewinnienie:

— Pierona, cosik mi do oka wpadło...

Nic ci, bracie, nie wpadło do oka, lecz do serca wpadło ci jakieś zaczarowane słowo polskie, i stąd ta iza cudaczna!...

Częstokroć książka znajdowała się w obozie tylko w jednym egzemplarzu. A była to książka, co tamte cuda czyniła. Co tu robić?... Zgłaszał się więc jakiś ochotnik, umiejący dobrze czytać, zwoływał wszystkich kolegów ze swej izby do sypialni i przed udaniem się na spoczynek czytał ją głośno. Siedział zazwyczaj na środku sypialni pod lampą, kole-

dzy zaś powłazili do dwupiętrowych łóżek, powystawiali z nich głowy jak z kojców, i słuchali.

Pamiętam, wracałem na swój blok na pół godziny przed gaszeniem światła w obozie. Przechodząc koło bloku 16, t. zw. „polskiego bloku”, stanąłem pod oknem sypialni i popatrzyłem do środka. Pod lampą siedział znajomy mi robotnik z Dziedzic. Trzymał książkę wysoko przed sobą i czytał. Czynił to z dziwnym nabożeństwem, z tak głębokim przejęciem, że zdawałoby się — ksiądz na ambonie czyta wiernym Ewangelię świętą. Z treści poznałem, że to któryś tom Trylogii Sienkiewicza. A naokoło, ze wszystkich barioarów, wysterkały głowy zasłuchanych, o tak czujnych i zachwyconych oczach, jakby patrzyły w olśnieniu na nieslychany cud jakiś. Słowa czytającego były równe, skandowane twardo — rzekłabyś — rąbane, a jednak przedziwnie miękkie i słodkie, jakby pieszczone i serdeczną krwią nabrzmiałe, wydobywane z najtajniejszych głębin człowieka i jakby na szorstkiej dłoni w uwielbieniu podawane, że i ja w tej chwili zapomniałem o całym świecie, urzeczony do ostatka.

A tamci w barłogu słuchali i słuchali...

— Co tu robisz, pieronie? — posłyszałem zniecka ostry szept przy sobie.

Ocknąłem się, jak z głębokiego snu. W mroku dojrzałem czyjeś zimne, zbójcekie oczy.

— Ach, to ty jesteś!... — doszedł mnie już uśmiechnięty szept. — Myślolech, że ta jakiś pieron Niemiec, lebo to bydle esmańskie!...

Z apelowego placu doleciał gwizdek szefa obozu na znak, że już godzina dziewiąta, że trzeba gasić światła.

Tamten z książką w sypialni przerwał czytanie.

— A teraz, kamraci, spać! I światło gasić!... Jutro dalszy ciąg. Mocie tego dość na dziśka, ni?...

Światło raptownie zgasło, nastąpiła ciemność. Wychodziły z niej omackiem zmieszane głosy, westchnienia, szepty, szelst słomy w barłogu. Znużony człowiek kładł się w swe zawzone legowisko. Pod powiekami niańczył radosne majaki, wyczarowane z przebrzmiałych słów polskiej książki, w sercu wyczuwał przelewający się miód słodki, a myśli były wciąż jeszcze błękitne i uśmiechnięte, jak uśmiechnięte jest dziecko na widok przydrożnego kwiatka.

Ludzie w obozie szukali Boga.

Ludzie w obozie szukali Boga, lecz nie mogli Go nigdzie znaleźć. Wszystko bowiem, co koło nich było, wydawało się

Jego zaprzeczeniem. A znaleźć Go pragnęli. Szukali Go więc w książce religijnej czy teologicznej, wyłuskiwali z trudem z uczonych słów takie zrozumienie, które by umożliwiło im odkryć drogę do Niego, a jeżeli już nie drogę, to przynajmniej najmizerniejszą ścieżynę. Zastanawiali się głęboko nad sensem cierpienia, usiłowali zrozumieć istotę dobra i zła, szukali rozwiązania niepokojącej zagadki, jak tu pogodzić własne serce ze słowami modlitwy: „...i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.”

I nie wiem, czy znaleźli.

Byli i tacy, co szukali uciszenia w poezji.

Przybłąkał się do nas Staf, przybłąkał Kasprowicz ze swoimi Hymnami.

— Gdy czytam „Święty Boże” Kasprowicza, lub jego „Pieśń wieczorną”, odnoszę wrażenie, że hymny te napisał w obozie koncentracyjnym! — zagadnął mnie mój przyjaciel na ulicy obozowej.

Poszliśmy za blok, on wyjął z kieszeni mały tomik, otworzył i zaczął czytać ściszym głosem :

...jestem i płacę.

Biję skrzydłami,

jak ptak ten ranny,

jak ptak ten nocny,

któremu okiem kazano skrwawionym

patrzeć w blask słońca...

Czytał długo. Bezwiednie przemieniał się w człowieka, który kaja się przed Bogiem i płacze, i tarza u Jego stóp w swej bezsile, a potem wybucha buntem i bluźni, pełen goryczy i rozpacz, potem znowu się ucisza, zrezygnowany i znowu bezsilny, jak człowiek ogromnie zmęczony, jak człowiek w obozie koncentracyjnym, który nie widzi znikąd wybawienia, tylko tę śmierć rozdeptanego robaka.

A Ty, o Święty !

A Ty, o Mocny !

Ty Nieśmiertelny,

plódź żywoty,

aby tak klęły, jak ja,

aby płakały, jak ja,

aby tak marły, jak ja —

o Święty, Nieśmiertelny ! Święty, Mocny Boże !

Moja Władko !

Poprzedniego listu nie dokończyłem. Tak się jakoś złożyło. Nie miej mi tego za złe. W następnych postaram się uzupełnić z nawiązką to wszystko, z czego nie zdołałem się przed Tobą „wyspowiadać”.

Używam tutaj — zresztą w cudzysłowie — tego osobliwego słowa „wyspowiadać”. I słusznie. Przyplątują się w wspomnieniach wszystkie teorie Freuda i Adlera o psychoanalizie, o kompleksach przeróżnego rodzaju, a zwłaszcza o kompleksach niższości, o tak zwanym „Geltungstrieb”, o urazach psychicznych, o panseksualizmie i miły Bóg raczy wiedzieć, o czym tam jeszcze... Cały ten bagaż naukowy pogubiło się po drodze i teraz staje się podobny do człowieka, który patrzy poza siebie i ze smętkiem stwierdza, że trzeba mu wracać i po drodze zbierać rozdrobnioną zgubę.

Może mi się jeszcze uda to wykonać.

W obozie nieraz rozmawiałem ze swoim przyjacielem o znaczeniu i wartości spowiedzi. Był to ksiądz, człowiek światły, nowoczesny — że się tak wyrażę, może nieraz twardy, lecz przede wszystkim mądry. Jego mądrość nazwałbym mądrością serca. Jego współtowarzysze - księża nie lubili go. Zbyt często i zbyt szczerze wytykał im owe niedociągnięcia życiowe w obozie, które w sumie dyskwalifikowały ich jako księży. Powiedziałbym, że może cechowała go czasem zbyt skąpa wyrozumiałość w stosunku do ludzkich błędów czy grzechów. Lecz rozumiałem. Wymagał od swych kolegów - księży tego samego, czego od siebie wymagał. Przeważałem go żartobliwie Savonarolą, z czego wydawał się być zadowolony. Zarzucałem mu czasem — również w żarcie — zbyt małą pokorę chrześcijańską. Wtedy milknął i zastanawiał się, ile prawdy w tym zarzucie.

— Być może — mawiał wtedy po dłuższym milczeniu.

Oto z tym swoim przyjacielem, z księdzem Kazimierzem, wiedliśmy często długie rozmowy w obozie na przeróżne tematy, a między nimi na temat znaczenia i wartości spowiedzi. Koledzy zwiedzili się o tym, i zaczęli nas nazywać „Badaczami Pisma świętego”. Była to aluzja w związku z pobytam w obozie kilkunastu więźniów, należących do niemieckiej sekty Badaczy Pisma świętego. Nosili na marynarkach i na spodniach fioletowe trójkąty i tym odróżniali się zewnętrznie od więźniów politycznych, noszących czerwone trójkąty, i od zwykłych zbrodniarzy z czarnymi trójkątami.

Koledzy więc przewalali nas „Badaczami Pisma święte-

go", lecz niejednokrotnie sami podchodzili do nas i przyłączyli się do rozmowy.

Ksiądz Kazimierz posiadał wspaniały dar przekonywania. Pamiętam, największe wrażenie w naszym kółku „Badaczy Pisma świętego” wywołał wtedy, kiedy zaczął dowodzić, że wprowadzenie spowiedzi przez Kościół katolicki świadczy o jego genialnej znajomości psychiki ludzkiej, i to, co uczony żyd, Freud w Wiedniu, po długich latach studiów i dociekań nad zagadką psychiki ludzkiej osiągnął w zbudowaniu swej teorii o psychoanalizie, a więc to, do czego doszedł mozolnie drogą rozumowania, Kościół katolicki stosował w całej rozciągłości od początku swego istnienia.

Kiedy więc na początku dzisiejszego listu użyłem tego zwrotu o „spowiedzi” przed Tobą, to jest taka drobna reminiscencja tamtych naszych obozowych dyskusyj teologicznych.

Może Cię to, Władko, zastanawia, skąd takie rozmowy właśnie w obozie, który był przecież synonimem zbrodni, ze-stokrotnionego zła i piekła ludzkiego. Widzisz, obok książek, o których rozpisałem się tak obszernie w poprzednim liście, i obok lansowania przeróżnych prorocत्व i przepowiedni, a o których kiedyś Ci jeszcze napiszę, jednym z tych środków, stanowiących dla nas zapomnienie i ucieczkę przed koszmarną rzeczywistością, były tego rodzaju rozmowy. Wzmacniały zwątlale siły człowieka w obozie, podtrzymywały go, wspierały i pozwalały nie tylko ufać, ale i wierzyć !... Kto już nie miał tej ufności i wiary, załamywał się i konał, albo też wieszał się w ustępie, lub też rzucał się na druty kolczaste, naładowane prądem elektrycznym. Lub zgoła przechodził dobrowolnie przez tak zwane „Postenkette”, przez pas, będący pod obstrzałem posterunków esmańskich, by ginąć od kuli wartownika. Wartownik otrzymywał wtedy nagrodę pieniężną i urlop, a załamany więzień zyskiwał śmierć bez męczarni. A to było dużo dla niego.

Śmierć tego rodzaju wybierali najczęściej więźniowie żydzi. Oni to bowiem byli przedmiotem specjalnej nienawiści ze strony „esmanów”, kopani, szczuci psami, głodzeni, pędzeni do ciężkiej, wyczerpującej pracy, a przede wszystkim bici kolbami i pałkami tak długo, aż skonali pod razami. Jeżeli jeden i drugi za długo konał, „esman” wskakiwał mu butami na pierś, klatka piersiowa załamywała się z suchym chrzęstem, z ust ofiary posączyła się krew, a ciało już teraz stygło spokojnie. Po skończonej pracy zwłoki ofiar ładowano na taczki i wieziono przed wracającym oddziałem do obozu, do krematorium. Obok szli „esmani” z karabinami gotowymi

do strzału i przeżywali wspaniały dosyt rozkoszy mordowania i dosyt seksualny.

Był to zawsze ponury pochód.

Szliśmy piątkami, podobni do ludzi, u których już wszystko, co ludzkie, zostało doszczętnie zduszone i wydarłte. Obok nas kroczyli „esmani”, wspaniałe okazy krwiożerczej płowej bestii niemieckiej, jak to trafnie powiedział ich filozof Nietzsche, a na przedzie mozolili się z ciężarem taczek załamanymi towarzyszami, pchający przed sobą ciała swych kolegów. Ciała były zniekształcone, jakoś dziwnie pokurczone, ociekające brudną krwią. Krew kapiała z taczek na drogę gęstymi kroplami, a każdą kroplę rozdeptywały nasze buty i mieszały z prochem bolesnej ziemi. Najbardziej tragiczny widok przedstawiały twarze tamtych ofiar. Wykrzywione, zapadłe, czarne, ziemiste jakieś, porysowane splątanymi smużkami skrzepłej krwi zrudziałej — jak często przywodziły na myśli porównanie z widzianą kiedyś twarzą Chrystusa na krzyżu, w przedsionku starego kościołka w St. Wolfgang w Alpach austriackich. Usta ofiar były otwarte. Robiły wrażenie uśmiechu szyderczego, z wyszczerzonymi zębami, uśmiechu tak straszego, tak potwornego, że w ludzkiej mowie nie znalazłabyś na to określenia. To nie był grymas uśmiechu, to był zastygły krzyk najgłębszej rozpaczki była synteza krzyku całej ludzkości, sponiewieranej, splutej, ludzkiej, krzyk żalu, sieroctwa, opuszczenia człowieka, to skopanej, zepchniętej na samo dno zbrodni kainowej. To już nie był grymas śmiechu, to był zastygły krzyk umęczonego człowieka, krzyk najtragiczniejszy w dziejach ludzkości: — Eli, Eli, lamma sabachtani !...

Usta innych ofiar były ciche, z lekka rozchylone, podobne do ust małego dziecka, które skonało w ramionach matki.

Kto już miał wszystkiego dosyć, obojętne czy to był żyd czy nieżyd, szedł dobrowolnie na linię obstrzału. Wtedy rozlegały się strzały, krzyki „esmanów”, radosny skowyt rozjuszonych psów. Na trawie zaś czy na śniegu konał umęczony człowiek, stając się podobnym do kogoś ogromnie znużonego, który położył się na ziemi, by odpocząć.

Czasem przodownicy oddziału więźniów, tak zwani „capowie”, pochodzący ze zbrodniczych szumowin niemieckich, umawiali się z wartownikami i na swój sposób „wykańczali” żydów i nieżydów. Upatrzony ofierze zrywali czapkę z głowy i ciskali poza obręb linii obstrzału. Lub wyrwali z ręki topatę, kilof czy młotek i rzucali poza ową „Postenkette”.

A wartownicy już czekali. Potem „capo” zmuszał swą ofiarę, by pobiegła po odrzucony przedmiot. Każdy wiedział, że jeżeli przejdzie poza linię, zginie. Komu nie zależało już na życiu, szedł zrezygnowany. Powoli, spokojnie, z przymrużonymi oczyma, w strasznym oczekiwaniu, skoro padnie strzał; by zwalić się, jak piorunem rażony.

— Byleby tylko dobrze trafił !... Byleby tylko... dobrze...

Wartownicy najczęściej dobrze trafiali. W głowę, w pierś, w serce...

Bywały jednak wypadki, że skazany z kaprysu „capa” na śmierć, czepiał się kurczowo swego łachmana-życia, nie chciał umierać, lękał się jeszcze śmierci ! Wtedy zaczynała się pożądana zabawa dla „capów” i wartowników. „Capowie” wpadali z kijami na ofiarę, bili ją, kopali, i znowu bili, tak strasznie bili, że w końcu okrwawione, straszne, ślaniające się widmo człowieka powlokło się na czworakach do linii po zbawczą śmierć...

Wieczorem zbierano trupy, wkładano do tacek i wieszono do obozu pod krematorium. Żywi zaś szli piątkami za taczkami, wyczerpani, głodni, jakby zaczadzeni oparami tamtej krwi, kapiącej z tacek na drogę, a myśli każdego układały się w ów krzyk, zastygły na ustach zamęczonego człowieka, krzyk już cichy i konający : — Boże, Boże, czemuś nas opuścił ?...

Lecz nie o tym chciałem Ci pisać, Dziewczyno.

Wciąż jeszcze przeżywam coś w rodzaju wyrzutów sumienia, że wysłałem do Ciebie niedokończony list. Otóż bezpośrednio winę ponosi tutaj wiatr. Dziwny to był wiatr, jakże odmienny od tego wiatru, co spada lekko ze stoków Belledonne i trzepoce się w starej morwie przed moim oknem. A który czasem zrzuca mi jej owoc, o smaku po pierwszy, raz całowanych ust dziewczęcych. Ten inny wiatr przyczał się gdzieś po drugiej stronie Alp i czekał. Przez cały dzień była skwarna cisza, co obezwładniała myśl i serce ludzkie. Ludzie byli przewrażliwieni, zmęczeni, a mój kotek leżał pod morwą i nie chciał się ze mną bawić. Z nastaniem nocy, kiedy już masyw Belledonne szerniał i złał się z nocą, kiedy niepokój w tamtej ciszy wzrósł do ostatnich granic, spadł zniecka do dolinę i zaczął szaleć. To nie był wiatr, to był rozjuszony, czarny wichur, dyszący żarem. Zwalił się z wyciem ze stoków Belledonne i jął prać łbem o drzewa, o mieszkania ludzkie, o wysokie skały po drugiej stronie doliny. Drzewa przewalały się do ziemi i szumiały przerażone, ściany domów drżały, a z tamtych wyniosłych ścian zrywały się

lawiny skalne i z grzmotem leciały w dolinę. Rozpętała się oszałała burza wichrowa, sucha, rozpalona, bez deszczu i bez piorunów. Człowiek zmalował w sobie, przemienił się w istotę ogromnie słabą i ogromnie znikomą. W zdumieniu słuchał wycia rozpetanego żywiołu, w zdumieniu patrzył na czyste gwiazdy i w zdumieniu wyczuwał drżenie własnego serca. A wicher wciąż nadlatywał falami, walił jak taranem w ściany domu, tętnił po ziemi tabunem oszalałych koni, tańczył na kalenicy, zrywał dachówki i ciskał w noc, trzaskał okiennicami wrywanymi z haków, uciszał się na chwilę, przyczajał do nowego skoku, dyszał skwarem, nabierał sił, a potem znów uderzał, szalał, huczał, jak ogromna czarna woda, ryczał i uciekał z szumem w daleki świat.

Zamknąłem drewniane okiennice, założyłem mocno haki od wewnątrz, położyłem się na wznak i słuchałem..

I znowu przypomniał mi się obóz !...

Lecz rzecz dziwna. Wspomnienie było ciche, łagodne, liryczne jakieś — że tak powiem.

Oto była ciemna już noc, kiedy po trzech dniach i trzech nocach, spędzonych w zamkniętych wagonach towarowych, dojechalśmy do stacji Oranienburg. Otworzyły się gwałtownie drzwi, do cuchnącego wagonu wpadło elektryczne światło bolesnym bryzgiem, smagnął nas biczem ostry krzyk wartowników. Wyszliśmy na tor kolejowy, popychani, bici kolbami. Śnieg był błękitny, bo noc była pełna księżyca. Ustawiliśmy się piątkami, bez czapek i pognano nas do obozu. Przez jakiś ciemny las. Koło nas sunął rząd wartowników, niektórzy z elektrycznymi lampkami, wszyscy zaś z karabinami w pogotowiu. Śnieg skrzypiał pod nogami i wciąż był podobny do zmarzniętego błękitu. Las był ogromnie czarny i tajemniczy. Zrodziło się zniecka pragnienie, by wychynąć z szeregu, skoczyć przez szeroki rów i zanurzyć się w leśnym mroku. Głupim !... Zanim bym uczynił ruch, zmierzający do skoku, już by klasnął strzał.

Las skończył się nagle, przed oczami stanął wysoki mur, na murze wieże, na wieżach jaskrawe reflektory. Oświetlały szczyty muru i wewnątrz obozu. Bo za murami był obóz. Wyobraziłem sobie tysiące ludzi poza murami, śpiących teraz w ciszy, odgradzonych od światła luną reflektorów. Co oni w tej chwili myślą, co przeżywają ?

I wtedy po pierwszy raz zamajaczyła mi śmierć w tym widoku. Śmierć tak bliska, że wystarczyłoby dłonią sięgnąć, by ją palce namacały. Jakby jakiś chłodny, puszysty przedmiot.

Potem skręciliśmy między liczne zabudowania, szopy, magazyny, koszary, w końcu stanęliśmy przed ogromną bramą z kutej kraty żelaznej, rozwierającej się w rażącym blasku reflektorów. Na bramie odczytałem napis pozornie prosty, a jakże zakłamanym i brutalnym w swej istocie! „Arbeit macht frei!” — i nic więcej.

W bramie przedleciał nas szyderczy krzyk jednego z „esmanów”.

— Chodźcie, chodźcie panowie! Stoły już nakryte białymi obrusami, ciepła kawa i rogaliki czekają na was!... Chodźcie, wy świńskie psy (Sauhunde)!

Staliśmy na placu apelowym przez całą noc. Wykapano nas poprzednio, ostrzyżono, ogolono, ubrano w łachy obozowe, wypędzono na dwór pod mur. Stanęliśmy w dwuszeregu, odwrócenymi twarzami do muru. Koło nas przechodzili „esmani” i przypatrywali się nam ciekawie. Niektórzy mieli trzciny w dłoniach i bili to jednego, to drugiego po głowach. Ot tak sobie, dla zabawy.

Potem zmęczeni się i odeszli. Pozostaliśmy sami. Za nami spał obóz. Wydawało mi się, że słyszę oddech ogromnego tłumu, skulonego w ciżbie i zaduchu we wnętrzu baraków, że słyszę ich myśli i sny, podobne do myśli i snów zaszczytych na śmierć zwierząt. W tej pozornej ciszy czaiło się coś tak strasznego, coś tak potwornego, że serce zamierało z przerażenia.

I znieścacka znalazłem nazwę na ową niesamowitą ciszę. Przypomniła mi się „Boska Komedia”, czytana na kilka dni przed wybuchem wojny. A z książki tej przypomniał mi się napis na bramie piekła: „Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate!”...

Tak, teraz już zrozumiałem ową ciszę.

„Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate!”...

Najmilsza Władko!

Nie miałem zamiaru pisać dzisiaj do Ciebie, bo męczy mnie upał.

Od kilkumastu dni bowiem leje się z nieba żar, a który z dniem każdym wzmacnia się i wzmacnia. Niebo jest wciąż ogromnie błękitne, podobne do nieba wymalowanego na stro-pie wiejskiego kościoła w Polsce. Na tle takiego błękitu powinna pojawiać się Matka Boska w otoczeniu aniołków, w

gęstwie lilij i białych róż, organy powinny rozpocząć Litanie do Najświętszej Panny, dzieci powinny śpiewać tamtą rzewaną pieśń : „Po górach, dolinach rozlega się głos...”, prześliczną pieśń w swej prostocie, z refrenem : „Ave, Ave Maria...”, a moja matka powinna klęczeć obok mnie, trzymać mnie za rękę i szeptać :

— Podziwej się syneczku... To Panienska Maryja !...

Podczas takiego błękitu powinien się unosić w powietrzu zapach kadzidła i zapach wędniejących róż na ołtarzu, ludzie zaś powinni być cisi i pełni ufności.

Nic z tego nie ma.

Tylko niebo jest błękitne, podobne do nieba wymalowanego na stropie wiejskiego kościółka w Polsce, a poza tym jest ogromne słońce nad ziemią, ziemia zaś jest spieczona i sucha, brunatna i dysząca z utrudzenia. Jak ten mój rudy kotek, co oto leży na spalonej trawie pod morwą, wyciągnięty, senny, dyszący ciężko, a kiedy go zawołać, podniesie głowę i patrzy na mnie, jakby chciał powiedzieć :

— Daj mi spokój !...

Daję mu więc spokój. Wstaję spod morwy i rozglądam się po świecie. Isère skrzy się dzisiaj w słońcu, że trudno ją poznać. Zawsze podobna do zamorusanej robotnicy, której ogromnie śpieszno do domu, dzisiaj wystroiła się w słoneczne luski i przechadza się w zamyśleniu po dolinie. Masyw Belledonne również odmienił swoje oblicze, bo przystońił się mgiełką, przesyconą błękitem i opalem.

Gdy przyjdzie noc, będzie inaczej. Belledonne będzie wspierał gwiazdy w ciemnym niebie, po ziemi rozleje się ciepły mrok, a w mroku będzie cisza, w ciszy zaś rozkrzyczą się świerszcze do niepamięci. Nawet ptaki, co teraz omdlewają w gąszczach, ockną się pod wieczór i zaczną śpiewać.

Na widnokregu, poza Grenoble, na wysokim stoku alpejskim płonie las. Płonie już drugi dzień i drugą noc. Za dnia unoszą się tam wysokie słupy szarego dymu, który na pewnej wysokości rozwiewa się w ogromny pułap, idący powoli na południe. W nocy zaś wybliska stamtąd spletany sznur ognia, sznur powęzłony, patrzący z głębi nocy krwistymi ślepiami pożogi.

Ów płonący las alpejski przypomina mi płonące Monachium w nocy.

Niejednokrotnie owo nieszczęśliwe miasto płonęło także i za dnia.

Działo się to pod koniec wojny, kiedy naloty wzrastały i gęstniały.

My, ludzie w obozie, w każdym takim nalocie widzieliśmy zbliżanie się kresu wojny. I w każdej zrzuconej bombie widzieliśmy przesunięcie owego kresu o kilka sekund może, a może o kilka minut na naszą korzyść. Bywały dni, że naloty odbywały się po dwa, po trzy razy kolejno. W końcu tak spowszedniały, że nikogo już nie dziwiły.

Koledzy moi nie kryli się już wcale, chociaż „Moskity” śmigały nad naszymi głowami, lecz stali na otwartym polu plantacyj i krzyczeli z radości, gdy eskadry dolatywały nad Monachium, a powietrzem wstrząsał głuchy łomot pękających bomb. Za to „esmani” kryli się w ziemiankach, patrzący z bezsilną wściekłością pod niebo, a widząc naszą radość, grozili nam, że porachują się z nami, zanim nastąpi koniec wojny.

— Wszyscy będziecie wystrzelani, jak wściekłe psy! — grozili. Lecz myśmy im nie wierzyli. W ich głosie przewijał się już strach.

Ja kładłem się na wznak w trawie i patrzyłem urzeczony w płynące po niebie srebrne eskadry amerykańskie. Leciąły ogromnie wysoko, ze stłumionym brzękiem metalicznym, od którego powietrze wibrowało, jak w olbrzymiej beczce blaszanej. Wędrowały po niebie równymi szlakami, majestatycznie, spokojnie, pewne siebie, zuchwałe. Ogień zaporowy szalał do niepamięci. Koło samolotów wykwitwały białe puszki w takiej ilości, że cały szlak przelotu był nimi usiany, jak pierzem. Mój kolega mawiał, że niebo staje się piegowate.

Koło nich uganiały się „Moskity”. Były podobne do śmigłych psów owczarskich, obiegających stada ciężarnych krów po niebie. Pragnęło się nieraz, żeby taki „Moskit” wylądował na obszernych polach plantacyj, żeby z niego wyskoczył lotnik, żeby krzyknął na nas po swojemu: — Siadać, bracie, a prędko!... I zmęczony człowiek wgramoliłby się do kabiny, samolot poderwałby się z ziemi i poleciał na zachód, do wolności!....

Czasem widziałem palący się samolot, jak spadał stracony z błękitu. Często wynurzały się koło niego białe grzybki spadochronów. Wówczas wyczuwaliśmy lekką ulgę. Lecz żal nas zestokrotniał, a nienawiść zapiekała w sercu, kiedy, po przybyciu Amerykanów do naszego obozu, ujęty „Rapportführer” Bötcher zeznał, że on tych właśnie uratowanych lotników amerykańskich palił z y w c e m w krematorium obozowym w Dachau.

Kiedy wczoraj w nocy patrzyłem na tamten płonący las

w Alpach, wyczułem bolesny skurcz w sobie, bo w wyobraźni ujrzałem owych lotników amerykańskich na spadochronach, schodzących z błękitu, radujących się uratowanym życiem, a nie przypuszczających, że śmierć czeka ich na ziemi. I to śmierć w płonącym piecu krematorium !..

I dlatego też z ulgą przyjąłem tamto następne wspomnienie płonącego Monachium w nocy.

Nie uwierzysz, Władko, jaka to była dziwna, oszalamiająca noc !..

Spaliśmy już, gdy nas zbudziła jęcząca syrena. Niezadługo noc zaczęła nabrzmiewać rosnącym łoskotem angielskich samolotów. Łoskot rósł, wzmagał się, przemieniał w przeciągły grzmot metaliczny, a równocześnie po niebie jęły śmigać oszalałe ze strachu macki reflektorów niemieckich i rozdunidy się strzały artylerii przeciwlotniczej.

A kiedy grzmot silników pod niebem wzrósł do ostatnich granic, rozpoczął się opętańczy sabat ognia. Czarne niebo kotłowało rykiem motorów, blade macki reflektorów siekły noc na strzępy, powietrze kłuł nieustający, ponury świst spadających bomb, a równocześnie z ziemi podnosił się ociężały huk eksplozji. Każdemu hukowi towarzyszył olbrzymi wytrysk ognia i skołtunionego dymu. Huk chwilami przemieniał się w dygotliwe bębnienie, a strugi ognia zlewały się w ogromną lunę, unoszącą się coraz wyżej i wyżej..

Monachium płonie!..

W okrwawionym blasku pożogi łyssały niesamowicie spokojnie lecące białe, jakby posrebrzone bombowce, otoczone gęstym wieńcem błysków. Eskadry leciały za eskadrami. Jedna, druga, dziesiąta, potem już setna !..

Człowiek w obozie przywarł do mroku i nienasyconymi oczami pożerał tamten widok, sycił nim swoje serce, upijał się, dosłownie upijał !..

— To za naszą krzywdę ! — szeptał z nienawiścią. — To za naszą krzywdę !..

— Für dein Warschau !.. — mamlął obok mnie stary kolega - Niemiec i ścisnął mi kurczowo ramię. — Es ist für dein Warschau !.. Für die leidende Menschheit !.. Es ist die Rache für den ermordeten Gott !.. Siehst du ?..

Widziałem. Eskadry leciały bez przerwy, jedną godzinę, potem drugą... trzecią !..

Luna nad tamtym miastem rosła, pęczniała, zalewała cały świat krwawą posoką, w oczach ludzkich zaś rozpalala zbójcekie błyski, a serce, to głupiutkie serce ludzkie zataczało się, upite widokiem pomsty i mordu !..

O, hej !... Widzicie, jak w tamtej połodze spala się krzywda człowieka w obozie, jak w tamtym ogniu dopełnia się miara sprawiedliwości, jak w tamtym pożarze czeźnie złość ludzka !... Czy widzicie ?... O, żeby jeszcze więcej bomb leciało na tę przeklętą ziemię, żeby jak najwięcej istnień ludzkich, znieawidzonych do ostatnich granic, wyzdychało w tamtym ogniu !... Za tę naszą krzywdę !...

— Ojcie nasz, który jesteś... — wypełza z rozdygotanego tłumu czyjaś modlitwa.

— Milcz, dziadzie przeklęty ! — bryzgnął brutalny głos i zdusił tamte święte słowa. — To za naszą krzywdę !...

Spojrzałem po swoich towarzyszach. Twarze były oblane ługą, że teraz wyglądały w mroku, jak twarze szatanów, wykrzywione kurczowo, zjadłe i złe. Oczy wszystkich były podobne do maleńkich główki, palące się, jak wilcze ślepia w nocy.

— To za naszą krzywdę !...

Z grupy białych, powoli sunących samolotów odłączył się jeden, ponurkował zakosem w dół, rozgorzał znieacka jasnym płomieniem i jął teraz spadać, jak płonący liść, w głąb krwistej nocy. Wszyscy wstrzymali oddechy, wszyscy wpatrzyli się w spadający bombowiec. Czy załoga wyskoczy, czy nie wyskoczy ?... Jezusie święty !... Jeżeli wyskoczy, pojawią się białe grzybki, opadające zwolna na ziemię. Nie !... Samolot próbuje poderwać się, jego motory wyją wysokim tonem... Leci nadal płonącym zygzakiem do ziemi... nikt nie wyskakuje... motory gwałtownie ucichły... samolot rozpada się... O Jezus !... Spadają drobne płonące drzazgi !... Spadochronów nie widać !...

— Zginęli ! — szepnął ktoś zduszonym głosem.

— Ojcie nasz... który jesteś... w niebie... — wychyla się z ciszy nieśmiały szept człowieka.

Już mu teraz nikt nie przerywa brutalnym protestem. Wszyscy milczą, słuchając tamtego szepotu.

— Wieczny odpoczynek racz im... dać... Panie... — błąka się nadal pokorny szept.

— Amen ! — odpowiada kilka głosów.

I znów nastąpiła cisza.

Noc była wciąż krwawa i tętniąca łomotem eksplozji, oddechy ludzi były jakby zduszone, a serca trzepotały w pierśsiach, jak dzikie ptaki w klatce.

— Matki będą ich na próżno czekały... — wychynął w nieoczekiwanej chwili czyjś młody głos.

— Podobnie, jak matki naszych kolegów, a może... jak matki nasze...

Ziemia jeszcze dygotała wybuchami czasowych bomb, tylko grzmot motorów pod niebem uciszał się i oddalał na zachód. Luna zaś ogarniała całe niebo.

To wszystko było bardzo dawno.

Wydaje mi się czasami, że tego nie było wcale w rzeczywistości, że to był sen jakiś ponury. Czasem tylko przychodzą wspomnienia, wywołane przez niespodziewane skojarzenia. Jak na przykład wczoraj, kiedy spod morwy patrzyłem na płonący las w głębi nocy.

Dzisiaj przed południem poszedłem do sąsiedniej wsi, do St. Ismiers, by odnieść list na pocztę. List pisany wczoraj do Ciebie. Droga, a raczej drożka prowadził przez winnice wzdłuż wysokiego stoku grani o nieznanym mi jeszcze nazwie. Stok jest stromy, podobny do ogromnej ściany, szary i buchający żarem. Pod stokiem zielenią się usypiska, a poniżej usypisk przycupnęły kamienne chałupy górall i drzemią w słońcu. Robią istotnie wrażenie drzemiących, bo wszystkie okiennice są pozamykane, żadnych ludzi nie widać koło nich, a jedynie pies leży na progu z głową ułożoną na płask między przednimi łapami. I nawet nie raczy na mnie zaszczekać. Wszystko naokoło jest wypalone słońcem, tylko winnice posiadają jeszcze soczystą zieleń. Droga do St. Ismiers nie jest daleka, tylko że wciąż ginąca w zakrętach, wybiegając raz po raz na wzgórek, a potem schodząc znowu w dolinkę.

I jak daleko okiem sięgnąć, nie było nikogo na drodze, tylko to słońce, a w słońcu ja ze swoim cieniem.

I znowu nadeszło mnie dziwaczne wspomnienie z obozu.

Oto pamiętam, kiedy razu jednego stałem zamyślony przed kolczastymi drutami, naszło mnie ogromne pragnienie, by chociażby jeszcze raz przed skonem móc widzieć drogę. Taką drogę pełną słońca, wiodącą między zbożami i między łąkami. Żeby móc stanąć gdzieś na jej rozstaju i słuchać sercem — bo czemże by innym? — i słuchać sercem, jak tą drogą szli ludzie, jak tą drogą wędrowały całe pokolenia ludzkie... I słuchać, jak tą drogą idzie życie w słońcu, koło takich samych kamiennych i milczących, zdawałoby się, wymarłych chałup góralskich, koło płotów, pod którymi w gęstych chwastach leży cień wilgotny. I słuchać, jak taką drogą leci wiatr pachnący przestrzenią... O, hej!... Wiatr pachnący słońcem i przestrzenią!...

I chciało się wędrować taką drogą daleką, od ludzi do

ludzi, pić wodę z kamiennej studni, z której cieknie z cichym, szklanym bełkotem, zanurzyć w takiej wodzie dłonie i twarz i znowu isć, isć na jej bezkresny kraniec... A czasem lec w owym przydrożnym cieniu wilgotnym i słuchać własnego serca, jak się modli... I wyczuwać z niewysłowioną ulgą, jak zmęczenie wycieka ze zdrożonego ciała, że kiedy wstanę, zmęczenie pozostanie poza mną, jak odrzucony łachman. I móc słuchać skowronka nad sobą i modlić się pod jakąś kapliczką na rozdrożu, przed frasobliwym Chrystusem, wyrzezanym z lipowego drzewa. I móc przede wszystkim spotykać ludzi na onej drodze, ludzi umięających się jeszcze uśmiechać jak dziecko, a którzy mieliby dla mnie proste słowa spod serca :

— Boże ci daj szczęśliwą drogę ;...

Podobnie jak u nas mawiano, na Śląsku beskidzkim.

Pragnienie to pozostało po dziś dzień.

Zmieniło się nieco, jakby skurczyło. Oto żeby przynajmniej móc spotykać takich ludzi, którzy jeszcze umięają się uśmiechać do przechodnia, jak dziecko. I nic więcej. Życie bowiem w obozie zabiło w nas uśmiech.

Spostrzegłem to do reszty, kiedy idąc ścieżką do St. Ismiers, przypomniała mi się drobna książeczka, przeczytana w poprzedni dzień. Miała dziwnie kronikarski tytuł : „Dzieje rodziny Korzeniowskich”, a napisał ją Melchior Wańkiewicz podczas swej włóczęgi po świecie. Wydana na mizernym papierze, gdzieś w Italii, prawi w bolesny sposób o znajomej mi trochę rodzinie Korzeniowskich w Katowicach, o tym, jak kolejno ginęła w pierwszych latach obecnej wojny. Pozostała tylko najmłodsza córka, spotkana gdzieś w Teheranie, by przez Wańkiewicza opowiedzieć tę tragiczną historię całemu światu.

Po jej przeczytaniu spostrzegam ze wstydem, że my wszyscy, cośmy wyszli z niemieckich obozów koncentracyjnych, pragniemy — podświadomie może — uważać się za niebываłych bohaterów i męczenników dla sprawy polskiej. I że każdy z nas, opowiadając o tamtym piekle, usiłuje — znów podświadomie może — wywołać u słuchacza współczucie i podziw.

A równocześnie po jej przeczytaniu pozostało tylko pragnienie spotkania na drodze ludzi o uśmiechu dziecka. I pragnienie zapomniać o płonącym mieście i o palących się żywcem amerykańskich lotnikach w krematorium w Dachau.

Najmilsza Władko !

Nie wiem, czy to było w Warszawie u Ciebie, czy też gdzieś w Wiśle, w którymś pensjonacie, gdzie razem bawiliśmy. Przypominam sobie, że na komodzie stała spora szklana kula, a w środku kuli wdzięczył się mały bukietek, czyniony misternie z niesłychanie kolorowych, drobnych kwiatków woskowych. Posiadało to w swej naiwności jakiś niepowszedni urok. Przypuszczam, że to była pamiątka po prababce, jakiś radosny gościec przywieziony przez nią z wojażu po dalekich krajach. Albo też po prostu było to cacko kupione u wędrownego kramarza lub zgoła na odpuszczie wiejskim, a ustawione na komodzie gwoli radowania czyjegoś umiłowanego serca i czyichś drogich oczu.

Widok owej szklanej kuli z zamkniętym w sobie bukietkiem woskowych kwiatów nasuwał mi zawsze porównanie do zaczarowanej księżniczki Śnieżki, śpiącej w szklanej trumnie. Wszak znasz tę bajkę z lat dziecięcych?... Szklana trumna przemieniła się w szklaną kulę, księżniczka Śnieżka w niesłychanie kolorowy bukietek, a brakowało tylko smętnych krasnoludków, które by siedziały przykucnięte koło kuli i długimi, siwymi brodami wycierałyby łzy z oczu. Zamiast krasnoludków był tylko smętek minionych rzeczy i smętek nadchodzących chwil, które nam miały być rozłąką.

Szklana kula z uwiecznionymi kwiatami przypominała mi się dzisiaj, kiedy już kęś po północy stanąłem w oknie i wyjrzałem na świat Boży. Była to niezwykła noc, tak bardzo odrębna w swej urodzie, że trudno taką noc uświadczyć nie tylko w moich Beskidach, lecz nawet w najbardziej fantastycznej bajce. Księżyc wyszedł ponad ciemny masyw Belledonne i zamienił cały świat w srebrne uroczysko. Wszystko naokoło było srebrne. Księżyc, gwiazdy, niebo, dolina Iséry i cisza, zawodzące granie świerszczy w winnicach i stara morwa pod oknem. A przede wszystkim cisza była srebrna. Cisza była ogromnie srebrna.

Niezmiennie rzępolenie świerszczy odmierzało w niej czas srebrnym staccato, a jedynie zegar, wydzwaniający godzinę z kamiennej wieży kościelnej w dolinie, przegrodził ją złocistym szelestem. Jakby stary król z bajki, — może ojciec księżniczki Śnieżki, przeszedł się był po dolinie w grubych pantoflach, utkanych ze złotogłowia. Potem znów wróciła cisza mierzona srebrnym graniem świerszczy. Morwę obsiadło niezliczone mrowie srebrnych perełek. Zdawałoby się, że to robaczki świętojańskie, a to był tymczasem księżyc, który

rozmienił się dla morwy na krople. Cichy bełkot Iséry podchodził do okna, a ślad jej znaczyły smugi mgły przesyconej księżycem.

Cała noc przeobraziła się jakby w ogromną szklaną kulę, podobną do tamtej szklanej kuli z komody prababki. A raczej był to olbrzymi, kulisty kryształ przesrebrzony, w którym usnęła cisza, a w ciszy tej rodzi się teraz maleńki Chrystus. Jak ongiś w Betlejem...

Przyplątały się do mnie czytane gdzieś czy posłyszane słowa — zdaje mi się — Owidiusza : „...amica silentia lunae”.

Owo „Amica silentia lunae” przywiodło mi w wspomnieniu pokrewne przeżycie w obozie w Sachsenhausen. Było to w grudniu, styczniu i lutym w roku 1939-40. Ciężki mróz, dochodzący do 32 stopni, srożył się od pierwszych dni grudnia do drugiej połowy lutego. Ponieważ bicie, pędzenie do pracy przy robotach ziemnych, a wykonywanych zawsze biegiem, nie pociągało tyle ofiar, ile zapewne komenda obozu spodziewała się, przeto „esmani” stosowali dodatkowe środki „wykończenia” więźniów. Wpadało kilku „esmanów” z bykowcami do syplalni, kiedy już wszyscy spali, i wypędzali nas przez okno na dwór. Byliśmy ubrani tylko w koszule. Na dworze był wysoki śnieg i mróz. I zaczynała się zabawa. Ganiłi nas boso w śniegu, musieliśmy się w nim tarzać i czołgać, zanurzać głowy w kopcach śnieżnych, bici, kopani, pędzeni z powrotem do sali i znowu wypędzani na dwór przez okna, i znowu tarzać się i czołgać... Wielu kolegów ustało i już nie podniosło się ze śniegu. Po godzinnej zabawie mogliśmy wracać do sypialni, podobni nie do ludzi, lecz do zaszczutych zwierząt, dygocący z zimna, skostniałi, z nienawiścią i z pragnieniem zemsty, takiej okropnej zemsty w sercach.

Leżeliśmy w swych barłogach po jednej z takich przeklętych nocy, kiedy w świetle księżyca ujrzałem nad sobą zmienioną twarz swojego kolegi. Oczy jego były jak u człowieka obłąkanego.

— Ty... — posłyszałem jego szept, podobny do skomlenia.

— Czy mnie słyszysz?...

— Co chcesz ?

— Ty... powiedz mi..

— Co ci mam powiedzieć ?

— ... czy jest Bóg... czy nie ma Boga !... Jezus, Maryja !
Czy jest Bóg... czy nie ma Boga ?... Powiedz ! — i jął mną szarpać w jakimś okropnym paroksyzmie rozpaczy.

— Mów !... Jest Bóg... czy Go nie ma ?... — błagał natarczywie.

— Nie wiem ! — rzuciłem mu twardo w odpowiedzi. Bo sam nie wiedziałem.

Popatrzył na mnie z żalem i zwałił się z powrotem na swój siennik. Skulił się, nakrył głowę kocem i zaczął lkać. Jak małe skrzywdzone dziecko.

Ludzie byli coraz bardziej głodni i z dniem każdym opadający z sił. A mróz z dniem każdym wznagał się i wznagał. Nie mieliśmy płaszczy. Ubrani byliśmy tylko w cienkie, pasiaste drelichy i w letnią bieliznę o krótkich rękawach. Kołnierzy u marynarek nie wolno było podnosić, nie było wolno posiadać szalika u szyi, ni żadnego kawałka złożonej gazety lub szmaty pod koszulą, a które by choć trochę chroniły od zimna. Gdy staliśmy na placu apelowym, często przechodzili koło szeregów „esmani” i wymacywali dłońmi, czy pod ich palcami nie zaszeleści papier, czy nie wyczują jakiej szmaty pod marynarką. Jeżeli znaleźli, następowały krwawe igraszki z nieszczęśliwym. Najczęściej czterech „esmanów” otoczyło swą ofiarę i teraz każdy z nich podawał ją sobie ciosem w szczękę lub uderzeniem pięścią w serce. Nieszczęśliwy człowiek zataczał się, odbijał, staniał, zaczął krwawić, potem rzuć, a w końcu zwałił się na ziemię, gdzie już resztę dokonywały podkute buty „esmanów”.

I gdy jedni truchleli, a przerażenie dławiło ich serce, inni znowu usiłowali przypodobać się „esmanom” i w sposób jak najbardziej upadający śmiali się głośno i wyrażali rzekome zadowolenie cmokaniem i łaszącym patrzaniem w tamte złojeckie oczy. Byli to więźniowie-Niemcy, znajdujący się w obozie już po kilka lat przed naszym przybyciem.

— Czemu się, ty świniu, śmiejesz, kiedy „esman” morduje twojego kolegę? — pytał jeden i drugi, nie mogąc zrozumieć takiego postępowania.

— O, du blöder Hund, blöder !... — mawiał tamten i stuknął się palcem w czoło. — Gdy tu pobędziesz tyle lat, ile ja, a do tego czasu nie zdechniesz, to będziesz to samo czynił, du blöder Sauhund !...

Stanie na placu apelowym, rano i wieczorem, przewlekąło się w nieskończoność. „Esmani” odliczali powoli więźniów, powoli zdawali raport i powoli wracali do nas. My zaś staliśmy ze zdjętymi czapkami, na baczność, a mróz kąsał i kładł ludzi na śnieg. Jeżeli „esman” nie widział, usiłowal każdy rozgrzać się gwałtownym wyrzucaniem przed siebie i do tyłu skurczonych ramion. Mróz, zwłaszcza o świcie, był

tak przejmujący, był chwilami tak straszny, że wyciskał lzy z oczu, człowiek zaś kostniał i ogarniała go senność. Nad kilkunastutysięcznym tłumem unosiły się tumany pary z oddechów, smród chorych ciał, stłumiony kaszel... U niektórych kaszel podobny był do świstu lokomotywy. Ludzie stali w milczeniu, skurczeni w sobie, posępni, cuchnący, owrzodziali po twarzach i rękach, podobni do Jobów cierpliwych, wyrzuconych przez ludzkość na olbrzymie gnojowisko. Koło nich przechadzali się „esmani” w ciężkich podkutych butach, raz po raz wpadający w tłum i bijący upatrzoną ofiarę po twarzy lub kopiący butem w gołenię, nad nami przeganiały stada kraczących wron, a ponad nimi przecierało się ciężkie, ponure niebo...

Było to 17 stycznia 1940 roku.

Trzymano nas wtedy na placu apelowym od godziny 5 do 9 rano. Skonał wtedy koło mnie mój towarzysz, ślązak z Cieszyńskiego, załamał się i upadł koło mnie profesor Kołaczkowski z uniwersytetu krakowskiego. Nie wolno ich było podnieść. Trzeba było czekać, aż nadejdą pielęgniarze, wzmą biedaka na nosze i powłoką na rewir lub do krematorium. Potem już nie starczyło noszy. Ujmowano więc dogorywającego lub skostniałego więźnia za nogi i za ręce, i wleczono po śniegu.

W pewnej chwili ujrzałem dwóch pielęgniarzy, niosących jakiegoś starca. Trzymali go w ten sposób, że brzuchem orał w śniegu. Koszula i spodnie obsunęły mu się z ciała i było można widzieć jego wypięty brzuch, obciążony brudną, żółtawą skórą, popstrzoną krwawymi wrzodami. Jego genitalia wlokły się po ziemi. Ów ostatni szczegół wywoływał ordynarny, rubaszny śmiech więźniów, co już po kilka lat przebywali w obozie. W owej chwili zniechęciłem nawet człowieka w obozie.

A potem pamiętam jedną dziwną noc.

Spaliśmy słoczeni po dwóch na jednym sienniku. Sienniki leżały na podłodze. Zbudziłem się w głębi nocy i podniosłem głowę. Naokoło mnie rzeźbiły oddechy. Przez zamrożone okno, porysowane w fantastyczne kwiaty, sączył się księżyc. Wypełniał wnętrze baraku. Księżyc był ogromnie cichy i łagodny. I nie wiem, skąd wzięła mi się pod powiekami wizja białych róż, które kiedyś zakwitną na tym strasznym cmentarzysku.

— Tu zakwitną białe róże... — ułożyła się owa wizja w szeptane słowa. Jakbym zamierzał skandować posłyszany kiedyś wiersz, którego wątek jednak zagubiłem w pamięci.

A równocześnie wynurzyło się wspomnienie posłyszanych słów Owidiusza : „...amica silentia lunae” i splotły się z wizją róży.

—... w przyjaznym milczeniu księżycy zakwitną tu kiedyś białe róże ;

Wizja białych róż, rozkwitłych w przyjaznym milczeniu księżycy, pozostała do dzisiaj we mnie. I kiedy wczoraj patrzyłem urzeczony w niewypowiedzianą urodę alpejskiej nocy księżycowej, kiedy wchłonęła mnie jej srebrna cisza, poszukałem oczyma tamtej białej róży, co kwitnie u starej bramy zakrytej bluszczem. Dostrzegłem ją !.. Pod kamiennym murem jarzyła się w księżycu białą plamą !..

Pragnąłbym ją zerwać i przesłać Ci ją, Władko, do Polski...

Najmilsza Władko !

W poprzednim liście wspomniałem między innymi, że znienawidziłem również człowieka w obozie. Wyznanie to dotknie Cię może niemile, i słusznie. Wszak w Waszych oczach, podobnie jak i w naszych własnych, urosiliśmy do rzędu niezwykłych męczenników i bohaterów. O tym już także Ci wspominałem.

I niezaprzecznie, najbardziej zbrodnicza fantazja ludzka nie zdołałaby wymyślić tego, co Niemcy stosowali wobec bezbronnego człowieka w obozie koncentracyjnym. Zdaję sobie sprawę, że był to produkt umysłów chorych, patologicznych, sadystów, produkt umysłów obłąkanych, umysłów isticie pło-wych bestyj. Że to już nie byli ludzie, lecz dosłownie szatani ! Lecz to w niczym nie umniejsza ich zbrodni.

Człowiek w obozie był więc męczennikiem i bohaterem. Wyrafinowany system zabijania w nim godności ludzkiej przekształcał go jednak w tego samego potwora, jakim był jego oprawca. I tego właśnie „człowieka w obozie” znienawidziłem w tym samym stopniu, co „esmana”.

W każdym obozie obok więźniów politycznych znajdowali się zwykli zawodowi zbrodniarze, elementy społeczne, zwyrodnialcy seksualni, alfonsy, szumowiny i sekciarze religijni. Sekciarze ginęli, bo nie umieli ani mordować swoich kolegów, ani bronić się przed nimi. Druga grupa, złożona ze zbrodniarzy, pederastów, przeróżnego rodzaju szumowin społecznych,znaczona zielonymi, czarnymi i różowymi trójkątami na ubraniach, to ludzie predestynowani do zbrodni, zanim znaleźli się

w obozie. Z nich też dobierano Kapów, dozorców, pielęgniarzy, izbowych i szefów bloku po różnych obozach, i oni to byli tymi zbrodniarzami, którzy umieli mordować swego kolegę spokojnie, z wyrafinowaniem, na zimno, rozkoszujący się widokiem krwi i konającego człowieka, przeżywający w takiej chwili tę samą radość ze swej przewagi fizycznej i te same dreszcze seksualne, co „esmani”. Wszak oni to wymyślili zbrodnie, o których nikt nie wiedział poza obozem i które się już chyba nigdzie na świecie nie powtarzały, a które może i teraz wywołują wśród normalnych ludzi coś w rodzaju niedowierzania. Czy dzisiaj ktoś uwierzy, że oni to stosowali w obozach w Mauthausen i w Gusen tak zwaną „śmierć lotnika” i „śmierć nurka”? Codzienną ich bowiem przyjemnością było stawianie kolegów swych na skraju głębokiej przepaści w kamieniołomach i strącanie ich w głąb jednym kopnięciem. Pytasz się za co? Tego nikt nie umie powiedzieć, za co. Wystarczyło, że kolega ich, wyczerpany z resztek sił, nie mógł już unieść kamienia, wynoszonego po stromych stopniach na szczyt kamieniołomu. To wystarczyło. Kapo wywlekał go na skraj urwiska, dla urągowiska kazał mu się jeszcze pomodlić i w oczach swych kolegów, „esmanów” i przerażonej reszty współwięźniów spychał go w przepaść. Wtedy skazaniec ginął od razu z rozbitą głową, albo też jeszcze długo konał na dnie z połamanymi rękami i nogami. Jeżeli konanie za długo trwało, Kapo schodził i dobijał go kijem. Jak dobija się zdychającego psa pod płotem. A zdarzyło się, że skazaniec nie zabił się, że jeszcze mógł o własnych siłach powstać, ponieważ runął na ciała swych poprzedników. Wywlekano go więc powtórnie na szczyt i powtórnie strącano. Po trzeci raz już tego nie musiano czynić.

Albo też dwóch „zielonych” oprawców ujmowało ofiarę za nogi i zanurzało w beczce napełnionej wodą. Tutaj efekt był dla nich mniej ponętny, bo polegał tylko na przypatrywaniu się, jak ofiara wierzga nogami. To już nie było tak bardzo emocjonujące, jak widok człowieka, spadającego w przepaść. A trzeci rodzaj zabawy, bardziej wyszukany, to spychanie wyzutego z sił kolegę do kloaczego dołu i przypatrywanie się, jak tonący w kale bronił się przed śmiercią. Jeżeli udawało mu się dosięgnąć dłonią brzegu, odtrącano go nogą lub odpychano drągiem. Tak długo, aż tamten utonął..

Podobnie topili rozbastwieni chłopcy — pamiętam — małego kota w gliniankach. Z tą jedyną różnicą, że potem półżywego zakopali płytko w ziemi. I zanosili się historycznym wyciem, kiedy widzieli, jak nasypana i dłonią ubita ziemia

drga w tym miejscu. Ja zaś uciekłem z placzem do matki. I wyobrażałem sobie duszącego się kotka pod ziemią, a widok ten prześladował mnie długo po nocach. Budziłem się z krzykiem, a matka przychodziła do mojego łóżka, uciszała mnie i kazała mi zniżać pacierz za dusze w czyścicu cierpiące. Była bowiem przekonana, że przyśnił mi się widok starego Zorychty, zaduszonego obwałem w kopalni, a którego zwłoki widziałem potem obok szybu, nakryte brudnym prześcierałem. I ja modliłem się posłusznie, lecz za duszę umęczonego kotka...

Gdybym miał dzisiaj, Władko, wiarę z dziecięcych lat, modliłbym się o wieczne potępienie tamtych bestyj ludzkich.

Tak samo jak modliłbym się o wieczne potępienie dla tych niemieckich więźniów politycznych, którzy byli wiernymi naśladowcami swych „zielonych” i „czarnych” kolegów obozowych. Niczym się bowiem od nich nie różnili. Chyba tym czerwonym trójkątem na ubraniu. Byli to może ludzie ongiś ideowi i szlachetni, utopiści wszelkiego rodzaju i fantaści, zagorzali przeciwnicy hitleryzmu. W ciągu tych kilku lat pobytu w obozie zdołano w nich rozbudzić lub sztucznie wychować wybujałe instynkty zbrodnicze, że teraz mogli stanowić wyrękę dla „esmanów” w mordowaniu nowego człowieka w obozie.

Taki na przykład blokowy na bloku 12, zwany powszechnie Fritzem, człowiek o pocziwym wyrazie twarzy, kelner z zawodu, mordował podwładnych sobie kolegów polskich i francuskich na zimno i za byle drobiazg. Oto brał stołek, odłamał z niego nogę i bił tak długo, aż tamten skonał. W każdym razie musiał zobaczyć krew. Musiał zobaczyć dużą kałużę krwi koło głowy swej ofiary. Wtedy dopiero ocierał zaślinione usta, odchodził kilka kroków i patrzył na leżącego, jak zwykł patrzeć człowiek, gdy toporem zwali duże drzewo w lesie. A oczy jego stawały się znowu dobrotliwe, wyraz twarzy życzliwie uśmiechnięty i dobroduszny. Tyle tylko, że chód jego był podobny do chodu skradającego się wilka. W ogóle wszyscy izbowi i blokowi posiadali nieograniczoną władzę nad życiem swych kolegów. I oni to zawierali umowy z „SS-Blockführerem”, którego więźnia zatłuc na śmierć i kiedy, gdyż ten więzień posiada złote zęby. Połowę złota zabierał „Blockführer”, drugą połowę blokowy z izbowym.

Największe przywileje w tym kierunku posiadali blokowi na blokach karnych. Tam nawet stało się zasadą, z góry dyktowaną, że w ciągu określonego czasu musi „wykończyć” tyłu a tyłu więźniów.

Blokowy karnego bloku w Sachsenhausen korzystał z tych przywilejów w całej rozciągłości. Kto dostał się na jego blok, nikt nie wychodził stamtąd żywy. Chyba, że zdołał się wkuścić w jego łaski jeszcze większą i jeszcze bardziej pomysłową zbrodniczością. Poza tym wynosili stamtąd życie młodzi chłopcy, jeżeli stawali się jego „dziewicami”. Reszta ginęła w osobliwy sposób. Oto wieczorem, po skończonym apelu, podchodził do upatrzonej ofiary i zaczynał spokojnie :

— Ty, jak się nazywasz ?... Hm, tak, tak... Polak ? Francuz ?... Hm, dobrze, dobrze... Otóż uważaj, kolego. Przynieś mi tamten sznur spoza szafki. No idź !

Więzień wiedział już, o co chodzi. Bez sprzeciwu przynosił żądany grubych sznur.

— Tak, sznur jest... No, to dobrze, kolego... Otóż, uważaj, co ci powiem. Idąc spać, weźmij ten sznur ze sobą do łóżka i prześpij się... A jutro rano... pamiętaj o tym !... Jutro rano niechaj cię widzę w ustępie na tym sznurze !.. Rozumiałeś ?... Chleba już dzisiaj nie otrzymasz, bo dla ciebie nie pobrałem. Jużeś bowiem odpisany ze stanu...

Chleb był pobrany, mizerna ćwiartka chleba, lecz zjadał ją blokowy.

Prawie wszyscy więźniowie wieszali się w nocy w ustępie. Bez protestu. Oto po prostu człowiek ten poszedł się położyć i leżał długo w noc. O czym myślał podczas tych godzin, trudno wiedzieć. Lecz można się domyślać. Potem wstawał i wychodził ostrożnie na palcach, by nie zbudzić blokowego. W ustępie przerzucał sznur przez belkę i wieszał się.

Czasem wieszano się od razu dwóch, trzech, a raz nawet pięciu więźniów. Prawdopodobnie jeden drugiemu pomagał zarzucić pętlę na szyję.

Były wypadki, że się ktoś wzbraniał. Noc minęła, a on się nie powiesił. Wtedy blokowy nie okazywał zdziwienia.

— A ty się nie powiesiłeś ?... No, nic nie szkodzi ! Powieszysz się dzisiaj w nocy. To ci zaręczam ! Teraz idź do pracy, a wiedz, że dzisiaj nie dostaniesz żarcia. No dobrze już, dobrze... — i popychał dobrotliwie swą ofiarę, poklepując ją jakoby życzliwie po ramieniu.

Wieczorem rozpoczynało się widowisko. Blokowy wołał swą ofiarę, a podając jej sznur, mawiał spokojnie :

— A teraz, mój miły przyjacielu (mein lieber Freund), idź się wieszać. A już !..

I nieszczęśliwy człowiek słuchał. Jeżeli bowiem zamierzał się bronić lub prosić o łaskę, czekająca już banda zbirów,

zaufanym blokowego, rzuciła się na niego i zaczęła go bić. Tak długo, że tamten decydował się na lżejszą śmierć samobójczą.

I tylko jedyny raz zdarzyło się, że taki skazaniec oparł się żądaniu blokowego. Był to ksiądz polski. Na wszelkie jego dobrotliwe perswazje odpowiadał milczeniem. A kiedy go w końcu chciano zmusić biciem do powieszenia się, nie usłuchał. Skonał na podłodze, dobijany potem długo butem blokowego.

Jak już wspomniałem, wszyscy owi więźniowie polityczni mianowali się stale z przechwałką niemieckimi komunistami. Ich komunizm jednak był dziwnego pokroju. Kiedy bowiem nasz Kapo w Sachsenhausen, stary więzień polityczny i komunista, jął okładać drągiem mego kolegę, że odważył się zaprotestować czynnie, iż go jeden z niemieckich kolegów przezwiał „polską świnią” — to w pewnej chwili jakby się zastanowił, przerwał bicie i wygłosił mowę do swych radujących się głośno kolegów niemieckich :

— ... bo koleżeństwo wymaga, żeby się wzajemnie szanowano. A że to bydlę polskie ośmiela się znieważać swojego kolegę-Niemca, na to nie ma innej odpowiedzi, jak bicie !... — wołał chrapliwym głosem, a tłum więźniów przytakiwał mu gorliwie.

— Lecz kiedy nie on, lecz jego obrażono, nazywając go „polską świnią” ! — stanął w jego obronie jeden z niemieckich kolegów, znajdujący się w obozie zaledwie od kilku tygodni.

— Raus mit diesem Sauhund ! — wrzasnął rozwścieczony Kapo i nieszczęsny obrońca znalazł się na śniegu przed blokiem, wyrzucony kopniakami swych kolegów.

— ... wprawdzie ja jestem komunistą — zaczął znowu Kapo — i nie pochwalam bicia kolegów. Lecz ja jestem niemieckim komunistą i moja дума narodowa nie pozwala, żeby taki polski pies świński (so ein polnischer Sauhund) obrażał kolegę Niemca !

— Bravo ! Recht hast du ! — przychlebiał się tłum, bijąc brawa.

— Diese polnischen Banditen sollen verrecken ! — wołali inni.

— Diese verfluchten Mörder der deutschen Kinder in Bromberg !

Kapo zszedł z krzesła wielce zadowolony, a ktoś z usłużnych kolegów podawał mu papierosa z płaszczącym uśmiechem.

Tego rodzaju niemieckich komunistów było dużo w obozie. Nikt z nich nie zdawał sobie sprawy, jakie ogromne zmiany zaszły w tym czasie na świecie, nawet w samym komunizmie. Kiedyśmy im o tym opowiadali, słuchali nas ze zdumieniem i w rezultacie nie wierzyli nam, gdyż myśleli wciąż tymi samymi kategoriami politycznymi, jakie posiadali z chwilą swego aresztowania. I nie wątpię, że wszyscy byli ongiś żarliwymi idealistami, że komunizm był dla nich Objawieniem, że widzieli w nim istotnie ratunek dla znękaney ludzkości. Lecz obóz przez tych kilka lat urobił z nich ludzi-potworów, wypaczył ich komunistyczną ideologią, uczynił z nich apostatów komunizmu.

Zachowały się także jednostki, dla których komunizm pozostał jakby nadal nową religią, a której byli wciąż żarliwymi wyznawcami i apostołami, którzy stali się w obozie po prostu komunistycznymi świętymi. Najwyższą dla nich wartością był człowiek, największym złem — jego krzywda, a tak zwany „Kameradschaft” — najwyższą formą wspólnoty ludzkiej, opartej na isticie chrześcijańskiej miłości bliźniego. Stosunek ich do kolegi-więźnia cechował tak głęboko pojęty humanitaryzm, że mogli stanąć w szeregu z najbardziej gorliwymi apostołami idei Chrystusowej w obozie, z najbardziej świątobliwym księdzem Jezuitą. Zachodziły wypadki, że narażali się sami nie tylko na więzienie i kary cielesne, lecz nawet na śmierć za tak zwany bunt (Meuterei), kiedy ujmowali się za więźniem, maltretowanym przez „esmana”.

Lecz niestety tego rodzaju komunistów było tak bardzo mało w obozach! Przeważała tamta zdegenerowana, przekupna, do ostatnich granic upodłona zgraja. Była to zsolidaryzowana szajka pederastów, utrzymująca dla siebie dosłownie prawdziwy harem złożony z polskich młodych chłopców, a następnie z młodzieży ukraińskiej i rosyjskiej. Kupa łotrów, u których przed meldunkiem karnym i przed szykanami można było się wykupić pieniędzmi, papierosami, chlebem, którym trzeba było regularnie się opłacać pieniędzmi, jeżeli pragnęło się utrzymać w tak zwanym dobrym „komandzie” lub ukryć przed transportem do innego obozu.

Z chwilą przybycia wojska amerykańskiego, wszyscy odani byli pod krwawy samosąd kolegów, a następnie wydani Amerykanom, którzy ich odprowadzili poza druty i na oczach całego obozu rozstrzeliwali, pozostawiając ich ciała przez kilka dni na skraju drogi. By pragnienie zemsty mogło być nasycone do ostatka,

życie w obozie zabijało godność ludzką w człowieku, od-

uczają go uśmiechu, stępiąło jego wrażliwość na widok krzywdy bliźniego i uczyło nienawiści stadowej.

Głód i lęk o życie zamieniały człowieka w wilka. Zjawisko to można było zauważyć przede wszystkim u kolegów niemieckich. Dlaczego właśnie u nich, trudno mi było dociec. Nie było go ani u Francuzów, ani u Jugosłowian, ani u nas Polaków. Lecz tylko w stosunku do innych grup narodowościowych. Między sobą tworzyli zwarty klan solidarny.

Pamiętasz Władko, gdyśmy nieraz słuchali Schuberta czy Bacha, lub gdyśmy czytali Schillera lub słuchali „Fausta” na scenie, mieliśmy dla Niemców słowa podziwu i rzetelnego szacunku. Dla ich kultury. I teraz wiem, że podobnie jak ja, tak i Ty, zmieniliśmy z żalem nasze zdania. Podobnie jak byłoby nam żal tych uczuć, którymi obdarzylibyśmy człowieka, przedstawiającego wykwit kultury ludzkiej, a po bliższym poznaniu okazały się nam jako zwykły szubrawiec.

Ale w istocie nie ma czego żałować.

Owo „homo homini lupus” spotykałem bowiem nie tylko u dawnych więźniów niemieckich, lecz nawet u tych, co wraz ze mną przyszli do obozu. Oto wystarczyło, że w głodnym, stadzie ludzkim, stłoczonym w jednej izbie, znalazł się kolega słabszy moralnie czy fizycznie, bardziej wycieńczony lub schorowany, by reszta rzucała się na niego po prostu, jak stado wilków rzuca się na swego osłabionego czy ранego współtowarzysza, by go zagryźć i pożreć. Człowiek słabszy w naszym stadzie wywoływał nienawiść do siebie. Kopany, odręczany od miski, wyrzucany z lepszego barłogu, nawet bity — może dlatego, że bezkarnie — bywał usuwany poza nawias żrącego się między sobą stada ludzkiego. I musiał umrzeć. Rzadko w barłogu, a częściej pod ścianą bloku lub w umywalni. Bo jeżeli konał w barłogu, koledzy wywlekli go z kłatwami do umywalni i tam porzucali na wilgotnej, kamiennej podłodze. Niech tam sobie kona, jak długo zechce. Chociażby przez całą noc. Byle by tylko nie przeszkadzał w spoczynku swoim rżeniem i smrodem oddawanego kału pod siebie. A jeżeli za długo konał, to izbowy, litujący się nad nim, oblewał go wodą i to przyśpieszało jego skon.

Na rewir odnieść? Nie, na rewirze nie było miejsca. A kto by się tam mozolił z takim zdechlakiem, kto by go tam niósł na plecach? Bo czy na rewirze czy w umywalni, czy zgola pod ścianą bloku — wszędzie jednakowo skon....

Ludzkiemu stadu imponowała tylko siła. Chodziło o to, by

z miejsca walił w łeb atakującego, i to mocno. A uderzenie poprzec takim przekleństwem, któreby nawet bez uderzenia pięścią mogło przeciwnika porazić. Kto silny, ten utrzymywał się na powierzchni, kto trochę tylko osłabł — szedł na dno.

Śmierć takiego niedołęgi nie budziła ani przerażenia ani współczucia.

Pamiętam — wróciliśmy z pracy w południe, i żli, rozjątrzeni, z krzykiem i przekleństwami ustawiliśmy się w szeregu przed kotłem z ugotowaną brukwią. Obok kotła w poprzek naszej drogi konał nasz kolega. Przywleczono go z pracy i porzucono na środku jadalni.

— Zanieście go na rewir! — wołał izbowy raz i drugi.

— A kto by go tam na rewir nosił! — padały odpowiedzi ludzi złych i głodnych. — Niech kona! Nie mamy czasu... nie mielibyśmy czasu obiadu zeżreć!..

Izbowy uznał słuszność takiego rozumowania i zaczął wydawać żarcie. Nabierał dużą chochlą i wlewał do podstawionej miski. Każdy z nas patrzył pilnie, czy chochla pełna, czy izbowy nie oszukuje. Pomocnik jego sięgał do kotła z ugotowanymi kartoflami, odliczał po trzy, po cztery i rzucał na podstawiony talerz aluminiowy. I teraz każdy, odchodząc do stołu, musiał przekroczyć umierającego. Potem siadał za stołem, pożerał jedzenie, a tamten konał coraz ciszej i coraz spokojniej. Aż w końcu przemienił się w śpiącego człowieka.

— A kto weźmie obiad za tamtego? — wyleciał z tłumy czyjś twardy, ochrypły głos.

Izbowy rozejrzył się po sali.

— Szafka 15 w kolejce. Podchodzić!.. — rzucił oschle.

Poderwało się czterech, podbiegło z menażkami. Po tak zwaną dolewkę.

Kolega z szafki 16 mruknął do towarzysza przy stole:

— Jeżeli jutro ktoś z was wyprostuje kopyta, to mnie czeka dolewka!..

Kiedy mnie wypadło po pierwszy raz przekroczyć umierającego kolegę po drodze, zawahałem się. Wtedy popchnął mnie brutalnie w plecy towarzyszy, idący w piątce poza mną.

— Los, los!.. Du błöder!.. — zawołał zniecierpliwiony.

Potem przekraczałem ich bez lęku. Wyczuwałem tylko bolesny skurcz w sercu. I wtedy, gdy leżeli w śniegu na drodze, o niebieskawej cerze i o szklanych oczach, z rozrzuconymi ramionami w poprzek, zmarznięci już na kamień. I wtedy, gdy przywieziono ich dogorywających na dwukoło-

wym wózku. Wózek przechylnono do tyłu, a konający wysypali się na drogę, jak wory. Zdołałem uczynić tak długi krok w marszu, chyba już ostatnim wysiłkiem, że nikogo z nich nie nadepnąłem. Obejść ich nie było wolno.

Częstokroć konających wkładano rano do koca i wleczono na plac apelowy. Tam porzucono ich w śniegu, w błocie czy w pyłe obok szeregu. I kiedy „esman” sprawdzał naszą ilość, tamten konał. Lecz musiał być na placu apelowym, gdyż musiał być policzony wraz z nami.

I znowu mi się przypomina, jak pewnego razu tuż obok mnie kolega - Niemiec konał w błocie. „Esman” odliczył nas, doliczył umierającego, zdał raport, a następnie wrócił do nas. Stał przy leżącym.

— Steh auf, du Schwein !... — zawołał i kopnął go co siły w brzuch. — Steh auf !...

Konający skurczył się boleśnie i zaskomlał.

— Ha, ten jest za wygodny, żeby wstać !... — szydził „esman”. — Ja ci zaraz pomogę, ty świnię. Izbowy !...

— Hier ! — zawołał izbowy w biegu i wyprężył się na baczność przed oprawcą.

— Wody przynieść ! A już !

Izbowy pobiegł na blok i przyniósł kubeł zimnej wody. Podał go „esmanowi”, który rozkroczył się na konającym i jął mu lać wodę na twarz, w rozchylone usta i w rozpięte spodnie w rozkroczu.

Tamten już nie ruszał się, tylko rzeził. W pewnej chwili otworzył z wysiłkiem oczy i jął boleśnie prosić cichym, skomlącym głosem :

— Lass mich... sterben.. Lass mich... sterben...

„Esman” wylał resztę wody na jego twarz, kopnął go jeszcze raz i odszedł, wsadziwszy ręce do kieszeni płaszcza. Idąc koło naszego szeregu jął pogwizdywać jakąś piosenkę. Piosenka ta skojarzyła się w wspomnieniu z kołędą niemiecką, słyszaną w obozie w Sachsenhausen.

Było to w noc wigilijną roku 1939. Mróz był duży, śnieg ogromny. Na placu apelowym, jakby na urągowisko, postawiono wysoką choinkę, obwieszoną kolorową girlandą małych elektrycznych lampek. Wyszedłem z bloku, boć to przecież była moja pierwsza wilia w obozie, a żał za utraconą wolnością i tęsknota za Tobą, Władko, i za moimi na Śląsku, i rzeźne wspomnienia dawnych wili w towarzystwie starej matki, wszystko to zważyło się na mnie, jak bolesna burza. Oto wyjdę przed blok i zdala popatrzę na choinkę w śniegu, płonąca w nocy jak niezemska zjawa. Nawiany śnieg sięgał

jej dolnych gałęzi. Podeszedłem bliżej urzeczony jej pięknem, gdy zniecka potknąłem się na czymś twardym, zimnym. W kolorowym świetle choinki dostrzegłem teraz dwóch zmarzniętych kolegów, nawpół zasypanych śniegiem. Jeden wyciągnięty na wznak, drugi zaś, leżąc na plecach, podkurczył wysoko kolana, a zaciśnięte pięści złożył na piersiach. Głowę miał przechyloną do tyłu, usta otwarte, na rzęsach zmarznięte łyzy. Szklili się w świetle lampek, jak kolorowe brylanty. A obok, z głośnika obozowego, jęła się sączyć cicha, słodka melodia niemieckiej kolędy: „Stille Nacht, heilige Nacht !...”

I oto pierwszy raz w życiu dostrzegłem bezgraniczną złość ludzką, ów dysonans w kulturze niemieckiej, a którą kiedyś tak uwielbialiśmy. Choinka, światła, cisza, najpiękniejsza kolęda niemiecka, a pod choinką dwóch moich towarzyszy niemieckich, którzy widocznie ostatnim wysiłkiem wywlekli się z bloku, by pod nią znaleźć śmierć. Ten, co miał zmarznięte łyzy na rzęsach, konał wpatrzony w rozjarzony cud nad sobą, a w głębi oczu niańczył jakieś słodkie wspomnienie z wigilii na wolności.

To był dla mnie najwymowniejszy obraz prawdziwej kultury niemieckiej.

I czy jeszcze, Władko, będziemy się rozkliwiali, gdy kiedyś posłyszemy Schuberta „Ave Maria”? Chyba już nie, bo w tamtej sentymentalnej melodii dostrzeżemy zniecka lich potworne zakłamanie.

Najmilsza Władko !

Z moich listów musiałaś odnieść wrażenie, że człowiek w obozie niczym więcej nie był, jak tylko owym przysłowio-
wym baranem, zarzynanym gwałtownie lub powoli bez żadnego z jego strony sprzeciwu. Co więcej — musiałaś odnieść i to wrażenie, że z wyjątkiem więźniów narodowości niemieckiej, wszyscy inni, a zwłaszcza wszyscy polscy więźniowie ucharakteryzowani byli na cierpliwych Jobów, na świętych męczenników, którzy chadzali po obozie ze złożonymi rękoma przed sobą, którzy tylko rzewnie wzdychali ze wzrokiem wzniesionym do nieba i którym tylko brakowało palmy męczeńskiej w dłoni oraz świetlistej aureoli koło wygolonych głów, żeby upodobnić się do męczeńskich postaci, znanych nam ze średniowiecznej sztuki religijnej.

Nie, Władko ! Człowiek w obozie posiadał jak najmniej owoych cech cierpiętnictwa. Przeciwnie, aż do ostatniej chwili, aż do skonu, całym swym zachowaniem zdawał się potwierdzać teorię wieświechtaną już dzisiaj a jednak wciąż jeszcze aktualną myślę Darwina o walce o byt. W obozie nikt nie chciał umierać, jak tamci święci męczennicy w historii Kościoła. A jeżeli ktoś w ten sposób umierał, był to już człowiek zupełnie załamany albo wyzuty do ostatka z wszelkich sił. A nawet i wtedy czołgał się po ziemi w nadziei, że znajdzie może jakieś miejsce, gdzie go śmierć nie dosięgnie lub przynajmniej, że znajdzie jakieś ukrycie, gdzie będzie mógł spokojnie skonać.

W poprzednim liście pisałem Ci o stadzie ludzkim, podobnym do wilczego stada, zagryzającego swego rannego lub osłabionego towarzysza. I podkreśliłem mocno, że to zjawisko było można zauważyć jedynie u więźniów narodowości niemieckiej. W rzeczywistości było je można zauważyć także wśród innych grup narodowościowych, a więc i wśród Polaków. Jedyna różnica w tym tylko, że cecha ta występowała najjaskrawiej i najbrutalniej u więźniów niemieckich. Psycholog miałby tutaj świetny materiał do studiowania i do pogłębienia swej wiedzy o człowieku. I jestem przekonany, że upewniłby się w twierdzeniu, iż człowiek w obozie, zwłaszcza w okresie głodu, wyzbył się wszystkiego, co mu zostało narzucone przez kulturę i cywilizację. A raczej powiedzmy tak : człowiek wyzbył się w obozie wszystkiego, co zostało przez niego nabyte w ciągu życia, co raczej było tylko cienkim nalotem kultury. Życie w obozie ścierało ów nalot doszczętnie, podobnie jak Twoje palce ścierają złocisty pyłek ze skrzydeł motyla. I pozostawał tylko tym, czym był w istocie, co było jego istotną treścią. I tu dopiero miałby psycholog wdzięczne pole do stwierdzenia, jak u różnych ludzi i u różnych grup narodowościowych ujawniały się wpływy wychowania, tradycji, wierzeń, dziedziczenia pewnych cech, wpływy rasy, klimatu, zajęcia, otoczenia i miły Bóg raczy wiedzieć, czego tam jeszcze.

I że wśród więźniów polskich nie objawiała się nienawiść stadowa w tak brutalnej formie, jak u więźniów niemieckich, że częstokroć trudno ją było nawet dostrzec, to tylko dlatego, że na urobienie psychiki polskiej składała się tutaj inna suma dodatnich czynników na przestrzeni całych pokoleń, aniżeli u Niemców.

Życie usiłowało zniwelować te różnice, a co zresztą leżało w intencji twórców tych obozów. Lecz nie zdołało. Potrafiło

jedynie zakreślić mocniej psychiczne kontury, które wyodrębniły poszczególne grupy społeczne wśród polskich więźniów.

Bo cóż się bowiem okazało ?

Inaczej reagował tutaj robotnik, a inaczej chłop, inaczej inteligent, a jeszcze inaczej ksiądz, uczeń gimnazjalny, co więcej — inaczej warszawianin, a całkiem inaczej Ślązak. Ubocznie jeszcze dodam, że ze wszystkich grup narodowościowych najmniejszą odporność wykazywali Francuzi i Włosi. Ci ginęli najszybciej, fizycznie i duchowo słabsi od Polaków. Za nimi szli Grecy. Najwięcej zaś umiejętności przystosowania się do nowych warunków wykazywali Polacy, Rosjanie i Jugosłowianie. Można by stąd wyciągnąć daleko idące wnioski.

Lecz wracajmy do Polaków.

Kiedy po zajęciu naszego obozu w Dachau przyszedł do nas polski oficer łącznikowy, i kiedy po dwu tygodniach wdąłem się z nim w rozmowę, oświadczył mi :

— Wy tu wszyscy jesteście anormalni. Ja rozumiem, że to wpływ drutów kolczastych, odgradzenia was przez tyle lat od świata, że życie w obozie musiało wycisnąć swe piętno na waszej psychice, lecz fakt zostaje faktem : wy tu wszyscy jesteście anormalni. A jeżeli by tu zrobić podział między wami, to widzę, że najmniej widoczna jest ta anormalność wśród robotników i chłopów, najbardziej rażąca zaś wśród inteligencji. To też moim zadaniem będzie porozpędzać ją z obozu na cztery wiatry, żeby jak najwcześniej znalazła się znowu między ludźmi normalnymi, gdyż w przeciwnym razie będzie to tylko kupa matołów, mocno stukniętych w mózdzek. A z takimi ludźmi, to do bani !... Takich nam nie trzeba !...

Brzmiało to trochę szorstko, lecz mówił to przecież żołnierz.

W obozie najczęściej zanikały różnice między ludźmi. Mówię o tych różnicach, które spotykaliśmy na wolności. A równocześnie jeły się pojawiać różnice inne, bardziej odpowiadające rzeczywistości, lecz wywołujące niejednokrotnie przykre rozczarowanie. Przywykliśmy bowiem oceniać ludzi na wolności innymi kryteriami, a których zaprzeczenie w obozie było dla nas niespodzianką, wywołującą nawet pewnego rodzaju złośliwe zadowolenie, „Schadenfreude” — jak mówi trafnie Niemiec.

W obozie cierpieliśmy wszyscy głód. Nikt nie miał ani drobinę więcej chleba czy tamtej niedogotowanej brukwi w menażce. Głód bywał tak wielki, że na jawie, z jakimś cho-

robliwym realizmem widzieliśmy przed sobą najbardziej wyszukane dania, że tematem rozmów podczas owego głodu były szerokie, barwne, wprost jakieś lubieżne opisy zjadanych kiedyś potraw, ich sposób przyrządzania i podawania do stołu. Lecz równocześnie obowiązywała jakaś cudaczna cicha umowa, żeby szanować swą godność ludzką. A godność ludzka była wtedy narażana na szwank i potępiana obelgami lub zgoła szturchańcami, jeżeli ktoś, nie mogąc się już opanować, wylizywał palcem resztki jedzenia z wystawionego kotła, jeżeli pożerał ukradkiem obierzyny z gotowanych ziemniaków, a wyrzucanych do śmietnika, lub jeżeli ktoś kradł chleb swemu koledze.

Jeżeli ktoś palcem wycierał resztki jedzenia z kotła, a był to „człek nikiemnej kondycji”, to mu jeszcze darowano i z lekceważeniem patrzono na niego. Lecz jeżeli to był profesor uniwersytecki lub dyrektor banku, ksiądz lub chociażby nauczyciel wiejski — to już było oburzające. I nic dziwnego też, że u patrzącego na tę scenę chłopca czy robotnika wysuwał się znenacka jakiś przedawniony uraz społeczny, że zaczął zjadliwie urągać :

— Patrzcie, patrzcie !... Inteligent wyciera zasn... paluchem resztki żarcia z kotła ! Ale mu dojęło, widzicie !... A dawniej to gołąbki papał i winkiem popijał !... A wynoś się do jasnej cholery, ty takisynie !...

Jeżeli jakiś niemrawy głodomór zbierał ukradkiem obierzyny kartofli ze śmietnika i wtykał je za pazuchę, by je potem pożreć w ustępie, odpędzano go z krzykiem i z przekleństwami, a jeżeli to nie skutkowało, nawet biciem.

— Zdechniesz, dziadzie sakramencki, jeżeli będziesz żarł obierzyny ! — wołali na niego.

— Niech zdechnę ! Jestem głodny ! — bronił się głodomór.

— Ja też jestem głodny, a nie robię tego !... Wynoś się do wszystkich diabłów !...

Tutaj kierowano się doświadczeniem. Okazało się bowiem, że wszyscy ci, co zjadali obierzyny z kartofli, umierali po kilku tygodniach na nieznaną nam bliżej cierpienia kiszek i żołądka. Jeżeli obierzyny te jednak zjadał „inteligent”, do zwykłego tłumaczenia mu, iż umrze, dodawano szydercze uwagi, podkreślające jego różnicę stanową.

Kradzież chleba, dokonana przez „inteligenta”, była największym przestępstwem w obozie. Pamiętam, poznany przeze mnie profesor gimnazjalny z Podhala przypłacił to życiem. Zjadł swemu koledze jedynie małą kromkę chleba. Koledzy

jego nie bili go, lecz donieśli o tym blokowemu. Ten zaś wypoliczkował go, okrwawił, a następnie wysłał najbliższym transportem inwalidów, przeznaczonym na śmierć w komorze gazowej w okolicy Salzburga.

Najmniej sympatyczną grupą wśród nas była młodzież gimnazjalna z Łodzi. Z przerażeniem patrzyliśmy, jak jej najgorętszym pragnieniem było dorównanie a nawet prześcignięcie więźniów niemieckich w ordynarności i w wulgarnych wyrażeniach. Ona wniosła do obozu tak potworne słownictwo obelżywe, wydrapane gdzieś z ryszotków podmiejskich, z taką brawurą umiała mieszać z błotem człowieka starszego od siebie, znieważać chamskimi wyzwiskami, że robiła wrażenie, iż to nie młodzież gimnazjalna, lecz zgraja rzeźmieszków, wychowana od dziecka na ulicy. Upiła ją i oszołomiła swoboda, z jaką się mogła odnosić do ludzi starszych, obojętne czy to był prosty robotnik czy ksiądz biskup w Włocławka. Wyzwolił się z niej w niepohamowany sposób jakiś tajemniczy kompleks niższości, przeżywany w utajeniu w stosunku do ludzi, górujących nad nią swą wiedzą, ogląda towarzyską czy wiekiem, i używała sobie do woli. Tak długo, aż jej poczęto wpychać pięścią do gardła wycharkane, ordynarne wyzwiska, znieważające godność człowieka. Potem w większej części została wysłana z transportami do innych obozów. To już była sprawka polskich pisarzy blokowych. Tam chyba nauczyła się nareszcie „moresu”.

Podczas jednego z wieczornych apelów stało w szeregu ze mną trzech gimnazjalistów łódzkich. Jeden z nich opowiadał ze wszystkimi szczegółami obleśną historię swej wyprawy miłosnej do jakiejś tam koleżanki gimnazjalnej. Opowiadaniu towarzyszyło tak ponure chamstwo w opisie i w słownictwie, że nie wytrzymałem:

— Przepraszam was, kolego — zacząłem — czy jesteście gimnazjalistą ?

Opowiadający, błydy chłopiec o szerokich ustach, o długim, kończystym nosie, i o szczurzym wyrazie twarzy, spojrział na mnie zmieszany, zawahał się i bąknął :

— A bo co ?

— Tak tylko się pytam...

— A cóż cię to, ty ch... garbatego żyda, obchodzi? — warknął zjadliwie.

— O, przepraszam was, kolego... Już teraz wiem, że jesteście nie gimnazjalistą, lecz kanalarzem łódzkim ;

— A słusznie ! — poparł mnie sąsiad, chłop spod Wieliczki. — Bo co jucha odewrze gębę, to jakby gnojówką rzygał !...

I to ma być „przyszłość narodu polskiego”! — dodał jeszcze z goryczą.

Tamci zamilkli, a potem już mnie unikali. Zwłaszcza, gdy dotarła do nich wieść, że to kiedyś może opiszę w wspomnieniach obozowych.

Żeby ów ponury obraz trochę rozjaśnić, muszę dodać, że pewna część owej osławionej młodzieży gimnazjalnej z Łodzi nie solidaryzowała się z tamtą grupą, że była taką, jaką sobie ją każdy pragnął wyobrazić.

W najtrudniejszym położeniu znajdowali się księża polscy. Nie tylko, że narażeni byli na szczególne szykany i maltretowanie ze strony „esmanów” i blokowych, że ich zmuszano do spełniania najbardziej poniżających czynności na równi z żydami, jak do wynoszenia kału, zamiatania ulic, do czyszczenia ustępów, lecz że wystawieni byli — że tak powiem — na widok wszystkich więźniów w obozie. Wszak to przecież księża, a więc ci, co tak pięknie kazali na wolności o cnotach i obowiązkach człowieka. Niech teraz pokażą w czynach to, co głosili na ambonie.

Skazani na czujną, czasem na wprost szpiegowską obserwację ze strony człowieka w obozie, zdołali w sumie zachować swój autorytet kapłański, aczkolwiek życie obozowe i tu wykoszlawiało go nieraz i obrażowało doszczętnie. Okazało się bowiem, że jak wszędzie, tak i między nimi znajdowali się ludzie, którzy byliby dobrymi szewcami, krawcami czy zgoła innymi rzemieślnikami, że sporo wśród nich minęło się z powołaniem, że księdzem zostali tylko z przypadku i z woli rodziców dla dogodzenia ich ambicji, lub z wyrachowania, „żeć to przecież lżejszy chleb” takie odmawianie pacierzy za pieniądze, aniżeli rąbanie drzewa w lesie lub szycie butów, że u wielu poziom intelektualny pozostawiał sporo do życzenia; mimo tych ujemnych cech potrafili utrzymać się na wyżynie kapłaństwa dzięki swoistej solidarności kastowej, a przede wszystkim dzięki bardzo wielu wybitnym jednostkom w swym gronie. Wszak oni potrafili wśród najcięższych chwil przyjść do załamane go człowieka w obozie z dziwnym słowem pokrzepiającym, umieli podnosić zwątlatego ducha jeżeli już nie słowem, to własnym przykładem, umieli roznosić pogodę i godzenie się z rzeczywistością, potrafili niecić wiarę w wytrwanie i wiarę w powrót wolności.

Wobec takich zalet bladły takie szczegóły, jak podsuwanie mi istic kupieckiej oferty ze strony mało mi sympatycznego księdza, iż za kawałek ofiarowanego mu chleba zmówi za mnie pacierz. Nie miałem mu jednak za złe. To był głód,

zdolny wszystkie wartości moralne u ludzi słabych wywrócić na nice. Nie razła mnie nawet odpowiedź jednego z księży, wybierających się po uwolnieniu do Francji :

— Z czego będę się utrzymywał ? — klarował mi dobrodusznie i naiwnie. — Widzi pan, we Francji duszpasterze francuscy mają tyle mszy świętych do odprawienia, że nie mogą podolać. Chętnie mi taki ksiądz francuski odstąpi pewną ich część, a że zamawiający mszę świętą płacą dobrze, więc będę miał z czego żyć...

Jego kramarskie podejście do wartości mszy świętej zaskoczyło mnie w pierwszej chwili bardzo niemile. Lecz i jego zrozumiałem po pewnym czasie i miałem go za wytłumaczonego. Toć to przecież tak bardzo ludzkie, że nie ma się czemu dziwić. Dziwić byłoby trzeba się wtedy, jako czemuś anormalnemu, gdyby wszyscy księża obozu byli chodzącą cnotą i świętością.

Przypuszczam, Władko, że moje wywody nie przekonywują cię bardzo. Przekonać Cię jednak powinien chociażby taki szczegół, jak śmierć ks. Kolbe w Oświęcimiu. Może w jednym z przyszłych listów wspomnę jeszcze o tej dziwnie jasnej postaci. Dzisiaj tylko pragnę nadmienić, że jego bohaterstwo nie ma równego w sobie w dziejach obozów koncentracyjnych. Oto po prostu poświęcił swe życie dobrowolnie, zastępując jednego z dziesięciu skazanych na śmierć głodową.

Kończę już. Może wyczujesz do mnie żal, że w liście tym odbrązowiłem z lekka człowieka w obozie. A może przeciwnie, nie wiem. W każdym razie usiłowałem go przedstawić w prawdziwym świetle. Jeżeli mi się to udało — to dobrze. Nie udało się — niewielka szkoda.

Moja najmiłsza Władko !

Już dawno nie pisałem Ci nic o Biviers.

I dzisiaj nie byłbym pisał, lecz mój żółty kotek zachorował i nie chce się bawić ze mną. Leży pod morwą, a gdy mu ludzie dokuczają, schodzi im z drogi i ukrywa się skulony w łóżku. Kiedy go zawołać, podnosi głowę i patrzy wyczekująco na mnie. Oczy jego spowaźniały i nabrały jakby ludzkiego wyrazu.

Lubię to drobne, bezbronne zwierzę. Wzrusza mnie nieraz jego zaufanie do człowieka. Oto przychodzi, miauknie, wydrapie się na kolana i ułoży w puszysty kłębek. Kiedy go dłonią

głaskać, mruczy z wielkiego zadowolenia. Dłoń błądzi po jego futerku, wyczuwa z ulgą drobny kształt jego ciała, jego bijące serce, a oczy bezwiednie patrzą na to maluchne życie, patrzą jakby urzeczzone odkrytym nowym cudem.

Dzieje się to zwłaszcza wtedy, kiedy do owego kotka czuje więcej przywiązania, aniżeli do ludzi koło mnie w Biviers. Ludzie ci mają dużo śmiesznych czy ujemnych cech, rażą mnie czasem ich cudaczne nawyki, pretensje do tego, czego nie posiadają, ich nienaturalność, udawanie i tak dalej. Możliwy tych ujemnych cech naliczyć sporo. Lecz nie chce mi się. Tak samo, jak nie chce mi się bronić ich w moich własnych oczach. Wiem-ci ja dobrze, że posiadają dużo pięknych przymiotów. Lecz nie chce mi się ich wyluskiwać z tamtych słabostek czy śmieszności. Po prostu nie chce mi się. Jestem za leniwy. Wystarczy mi, iż wiem o nich. A jakie one, jak je zdefiniować — trudno mi się zdobyć na taki wysiłek.

Dlatego też w takich chwilach lubię przebywać ze swoim kotkiem. Kotek jest ogromnie prosty. Jest taki, jakim jest. Poza tym nie ma w nim niczego więcej. Gdy jest głodny, łąsi się do każdego, chociaż go wtedy ktoś kopnie nogą pod stołem, uskubnie za ucho czy uszczypnie za ogon, a potem śmieje się, jakby z bardzo świetnego dowcipu. Gdy zaś nie jest głodny, przychodzi do mnie i też się łąsi. Domaga się wtedy bawienia się z nim, albo po prostu pogłaskania dłonią. Jak dzisiaj na przykład.

Nie wiem, jak się tłumaczyć przed ludźmi w Biviers z mego postępowania. Jeżeli im powiem, że dlatego nie wolno im krzywdzić kotka, boć to stworzenie bezbronne, słabsze od nas, to mnie zakrzyczą. A że jakoby fałszywy, że drapie, a że człowieka bardziej krzywdzono i krzywdzi się, że to jakiś nawyk starzejącej się panny, że to śmieszna czułośćkość. I nie wiem, czy by mnie zrozumieli, albo czy by mi przyznali słusność, że można okazywać ten sam stosunek do zwierzęcia, co do człowieka.

Eh, kiedy dzisiaj nie chce mi się rozumować.

Dzisiaj, Władko, ogarnęła mnie tęsknota za moimi w Polsce. I męczy mnie to, że nie mam od nich żadnych wieści! Ani o Tobie.

Wspomnienia o życiu obozowym szarzejają. Daj Boże, żeby się wypaliły do ostatka! Jeżeli dzisiaj patrzę na jakąś francuską ilustrację, przedstawiającą w brutalny sposób tamto życie, wzdrygam się i patrzę na nią zdumiony. Jeżeli ktoś przy stole opowiada jakiś fragment z własnych przeżyć obywatelskich, słucham i znowu się dziwię. Brzmi to bowiem dla

mnie, jako popisywanie się kogoś zbyt rozigraną fantazją. Potem dopiero, po pewnej chwili, wspomnienia wracają tłumem, a tłum ów jest jakiś straszny, okrwawiony, tragiczny, podobny do tych średniowiecznych biczowników, wędrujących w skwarze słońca od miasta do miasta, smagających się do krwi po obnażonych plecach i śpiewających ponure psalmy. Tłum jest tak wielki i tak mocno napierający swym skrąwionym obliczem, że uciekam wtedy przed nim na samotną drogę, wiodącą do St. Ismiers, by szum wiatru nawiał mi inne myśli, lub kulę się na ławie pod morwą i głaskam swojego kotka, bo obecność jego spędza obozowe myśli.

Potem znowu nadchodzą dni jednostajne, wciąż ogromnie słoneczne, nasycone ciszą, błękitem, zapachem przestrzeni i graniem świerszczy po nocy, że wspomnienia stopniowo szarzeją i zamieniają jakby w dopalające się ognisko. Przycho-dzą wtedy wspomnienia, owszem, lecz podobne do wyblakłych fotografii, zawieszonych rzędem na ścianie, lub zgoła do starych obrazów w muzeach, które oglądamy w jakiś wolny, słoneczny dzień. Wtedy chodzimy od obrazu do obrazu, patrzymy na nie nie bez wzruszenia, czytamy na mosiężnych tabliczkach, kto ich autorem, i znowu nic nas to nie wzrusza, bo na dworze jest słońce, śmiech bawiących się dzieci i szum wiatru w drzewach.

Popatrz się, Władko, czy mnie dzisiaj wzrusza tak obrazek ?

Przyszli do nas Amerykanie, zajęli obóz i zakrzęcali się koło robienia porządków. Bloki były przepełnione ludźmi, podobnymi do czołgających się trupów. Dosłownie, do czołgających się jak głodne robaki, cuchnących, owrzodziałych trupów. Zjechali się za nimi dziennikarze z aparatami fotograficznymi i filmowymi, biegali po obozie, pisali, kręcili filmy, bo człowiek, głodny sensacji, czekał tam gdzie i niecierpliwił się bardzo.

— Ilu was tu zginęło w obozie podczas wojny ? — pyta mnie jeden z obcych dziennikarzy. Notes miał rozwartą, obówek przygotowaną, w oczach jakąś żarłoczność.

Wtenczas już posiadałem dane statystyczne, zebrane przez naszych kolegów w aktach wydziału I, w księgach rewirowych i w kartotece obozowej.

— Owszem, może się pan dowiedzieć. Za czas od 4 marca 1940 roku do dnia 29 kwietnia roku bieżącego zginęło w Dachau 31 tysięcy 599 więźniów.

Na twarzy korespondenta zauważyłem źle ukryte rozczarowanie.

— Tylko tyłu?... — zapytał, lecz jakby się zorientował, szybko się uklonił i pognał na drugi kraniec obozu.

— Tak! Tylko tyłu!... A może o kilku więcej, lecz to już nie stanowi różnicy. Szkoda, że tylko tyłu. Taka skromna cyfra nie sprawi na jakimś czytelniku po drugiej stronie świata spodziewanego wrażenia. On też pomyśli: — Tylko tyle? — i znudzony odłoży gazetę.

Przypominam sobie, że wtedy oburzyłem się na ową hięgę prasową. Dzisiaj wzruszam ramionami i uśmiecham się pobłażliwie. Tak widocznie musi być, ludzie w taki sposób ukształtowali sobie życie, czy życie ich w taki sposób ukształtowało. Nie chcę tego dociekać. Pamiętam, patrzyłem z przeżarciem, kiedy widziałem taką scenę: w obozie byli już Amerykanie, pomiędzy blokami kręcili się korespondenci zagraniczni, kodaki stukwały, a ludzie-trupy czołgali się po ziemi, leżeli w cuchnącym słońcu i patrzyli obojętnie na obce, nowe twarze. Ci spośród nich, co jeszcze czepiali się kurczowo życia, wymyślili chytrze w swym parszywym lęku o życie, że mimo obfitego jedzenia, jakie Amerykanie każdemu podawają, roztropniej będzie zabezpieczyć się na wszelki wypadek i zjeść wszystko, co tylko można zjeść. A więc i te konserwy, których było tak dużo w obozie wraz z Amerykanami. Niecili więc na środku ulic barakowych małe ognie i konserwy wstawiali do żaru. Niech się zagrzeje! Wszak to lepiej smakuje, a jeżeli dostanie się gwałtownych bólów żołądka lub zgola biegunki, nikt nie powie, że konserwa temu winna, gdyż przecież nie była zimna, lecz na ogniu przygrzana.

Na ulicy obozowej siedzieli więc w kuczki przeraźliwi chudzielcy o wydłużonych nosach, o zapadłych policzkach, o wystających kościach, bladzi, z wytrzeszczonymi oczami, osłabieni, ślaniający się, grzejący konserwy w ogniu. Obok pod ścianą leżały zwłoki ich kolegów, którzy za wcześniej zmarli, by się nacieszyć wolnością i konserwą, a teraz wyniesiono ich z barłogów nagich, oropiałych, cuchnących i porzucano na słońcu pod ścianą. Murzyni z sanitarkami uwijają się jak mogą, lecz nie mogą nadażyć. A innym nie wolno ich ruszać, boć to przecież wszystko umiera na tyfus!...

Słońce piawiło się w błękicie, roje much brzęczało nad ludźmi, dopychało się do oślinionych ust i do niedomkniętych ocz zmarłych pod ścianą, żywe trupy, nagie, okryte zdartymi, zawszonymi derkami, grzebały patyczkami w grzejącej się konserwie, smród zatykał dech ludzki, a w samym rogu siedział stary, trzęsący się żyd nad swoim ogniem i również

grzebał patyczkiem w otwartej konserwie. Lecz że był bardzo słaby i co raz przewracał się na wznak, że mu potem było trudno wstać i znowu przykucnąć, więc litościwi kole-dzy przywlekli jednego trupa spod ściany i położyli koło ognia. I teraz biedaczyna żyd usiadł wygodnie na trupie, na jego klatce piersiowej i nadal grzebał patyczkiem w konserwie.

Obraz ten przeraził mnie w pierwszej chwili. Kiedy to opowiadałem kolegom, uśmieali się z pomysłowości słabego człowieka. Wtenczas czułem do nich lekki żal. A kiedy dzisiaj przyblika się do mnie wspomnienie owej sceny, patrzę na nią, jak na wyblakłą fotografię czy na zmurszały obraz w muzeum.

Albo inny obraz. Patrzę dziś nań z gorzkim uśmiechem i jakby zawstydzony, lecz również już, jak na wyblakłą fotografię. Tak długo, aż wspomnienia zwałą się w niespodziewanej godzinie i przytłoczą mnie swą potwornością. Wtedy ucieknę gdzieś w gąszcze lub na samotną drogę, wiodącą w słońcu i w wichrze do St. Ismier, gdzie będę się z Bogiem wadził! A więc taki obrazek, Władko:

Przywieziono do naszego obozu nowy transport ludzi. Byli to więźniowie, pracujący po innych obozach, a wycieńczeni do ostatka. Jeżeli ktoś z nich był zdolny poruszać się jeszcze o własnych siłach, ślaniał się jak małe dziecko i najmniejsza przeszkoda, zwykły kamień na drodze, stopień, czyjs zgubiony koc powodował, że się przewracał i nie mógł powstać. Pielęgniarze znosili ich z samochodów ciężarowych do łaźni. Tam ich rozbierali z łachów, kładli na posadzce pod natryskami, a łaźiebny puszczał na nich ciepłą wodę. Grzebali się w tej wodzie, jak wielka kupa robactwa. Ciepła woda spływała gęstym deszczem, zmywała z nich wszy, brud, przy-schniętą krew i ropę, syciła ich ciepłem, a oni czołgali się na posadzce, usiłowali wstać, upadali znowu, chudzi, podobni do szkieletów, podobni nie do ludzi lecz do poczwara przyśnio-nych u obłąkańca. Chcieli coś mówić, lecz nie byli zdolni do wydobycia z siebie artykułowanych dźwięków. Bełkotali więc coś, stękali, mamlali zmiętoszone słowa, a ten zbiorowy bełkot był tak straszny, był tak potwornie straszny, że pielę-gniarze odwracali się i zatykali uszy palcami. A ciepła woda wciąż spływała. Brud ciał, zmieszany ze strużka-mi krwi i ropy ciekł po posadzce, woda zaś spłukiwała wszy-stko do czysta. Potem brano ich, kto jeszcze nie umarł, i wrzucano na wóz, jak wrzuca się wory z trocinami. A po-tem jeszcze powieziono ich na rewir. Jechał taki wóz, ciągnię-

ty przez więźniów, jechał drugi, trzeci, dziesiąty... Z platformy wozów występowały bezwładne ramiona, zwisały chude nogi, zwisały głowy przechylone do tyłu. Zaropiałe rany znówu krwawiły, otwarte wrzody sączyły cuchnącą, zielonkawą posokę, a ludzie na wozie wciąż jeszcze coś bełkotali i jęcze-li. Chwilami bełkot ich przemieniał się w stłumiony ryk dobi-
janego zwierzęcia.

Na jednym z ostatnich wozów leżał na wznak żyd. Nagi, owrzodziały, krwawiący. Leżał pod ciałami swych towarzyszy, głowa tylko była wolna i tłukła potylicą przy każdym wstrząsie woza. Na prawym policzku zwiisał mu jakiś krwa-
wy strzęp. Podszedłem bliżej i zakryłem oczy. To nie był za-
den krwawy strzęp, to było oko, wyłupione z orbity oko zwisa-
jące na jakiejś żyłce czy ścięgnie. Z głębokiej jamy ocznej
ciekła strużka krwi, wyłupione zaś oko, podobne do krwawej
kulki uwiązanej na czerwonej nitce, kołysało się po jego po-
liczku...

W tę noc i przez kilka następnych nocy krematorium obo-
zowe dymiło ze wszystkich kominów.

Jakżeż inną, jakżeż radosną nawet była śmierć naszego
małego kotka, zabitego przez „esmana” w kuchni!

Kotka przynieśli koledzy, wyjeżdżający wozem po karto-
fle poza obóz. Koledzy go po prostu „zorganizowali”. Ujrzeni
gdzieś na drodze, przywołali go, wsadzili do worka i przywie-
źli do kuchni, do kartoflarni w piwnicy, gdzie przez cały
dzień obierałimy kartofle. Kotek przez kilka pierwszych dni
był wystraszony, krył się po kątach, usiłował uciec. Lecz
myśmy go nie puścili. O, nie! My takiej zdobyczy nie puści-
my!... Wszak nareszcie posiadaliśmy coś żywego, jasnego,
radosnego, coś, co z wolności do nas przyszło, co nam da ułu-
dę wolności. Kotek oswoił się z nami. Kotek stał się naszym
ulubieńcem. Wszyscy go pieścili, wszyscy mu dogadzali,
wszyscy chcieli się nim bawić. A kotek biegał za rzucanym
kartoflem po piwnicy, przewracał się po ziemi, skakał, wy-
łaził nam na plecy, obwąchiwał nam dłonie i nos, mruzczał
zadowolony, kiedy go pogłaskać szorstką dłonią, ludzkie ser-
ca zaś radowały się, tak bardzo radowały. Każdy zapominał
w jego obecności o swej przeklętej doli, każdy prznosił się
na drobną chwilę do swoich do domu, na wolność, widział się
małym chłopcem, kiedy z takim kotkiem bawił się w pokoju,
a matka patrzyła ze wzruszeniem na swego synka i na jego
kotka.

Najbardziej kochał go młody Włoch o dużych, czarnych,
aksamitnych oczach. Gdy zdobył chwilkę wolnego czasu, sia-

dał z nim w kącie, w najciemniejszym kącie, brał go na ręce, głaskał, całował po pyszczku, szeptał mu jakieś ogromnie spieszczone słowa włoskie, a kiedy usnął mu w dłoniach, chodził z nim między nami, piastował go, jak matka piastuje dziecko i śpiewał mu dziwnie słodką a smętną kołysankę włoską.

Aż pewnego razu wpadł do kartoflarni „esman”, szef kuchni. Ujrzał chłopca z kotem na ręku. Popatrzył, podszedł w milczeniu do niego, przez chwilę jakby się namyślał, a potem ujął śpiącego kota za skórę na grzbiecie, podniósł wysoko i co sił cisnął o kamienną podłogę. A następnie podniósł nogę i podkutym butem rozdeptał!... Na podłodze została krwawa, rozmiążdzona bryłka mięsa!... Roześmiał się chrapliwie i wyszedł w milczeniu.

I nie było już więcej kotka u nas. Pozostał po nim żal, jak po kimś ogromnie bliskim.

Przypomniała mi się dzisiaj tamta scena, kiedy swojego, żółtego kotka ułożyłem na kocu i pogłaskałem. Popatrzył na mnie, jak chory człowiek, kiedy go pogłaskać po głowie. Sąsiad mój, artysta-rzeźbiarz, również go pogłaskał i schylił się do jego zmęczonych oczu. Potem zauważył jakoby od niechcenia :

— Patrzy się na mnie ludzkim wzrokiem...

Ty się śmiejesz ze mnie, Władko. Ja się też śmieję z siebie. Z tego, że potrafię się jeszcze tak śmiesznie rozklejać. Cóż Ci powiem na usprawiedliwienie swe? Chyba tyle tylko, że to jeszcze pozostałości życia obozowego.

Najmilsza Władko !

Minęło znów kilka dni od chwili, kiedy pisałem Ci ostatni list. Opadła mnie niechęć do pracy. Wszystko wydawało mi się jakieś beznadziejnie bezcelowe i bez sensu. I te dni skwarne, niezmiennie, i to mierzenie czasu jednostajnym szmerem wody w rurze poza ścianą, wiadomości ze świata, pełne sporów i kłótni politycznych o podział zwycięstwa, a przede wszystkim owe banalne rozmowy ludzi w Biviers, rozmowy o posmaku cierpkiego jabłka, rozgryzionego z nudów. Mój Boże, o czym ci ludzie rozmawiają?... O jedzeniu, o sposobie gotowania, o swych uherbowanych przodkach, kto kogo rodził, gdzie i w jaki sposób kto zginął, i te wszystkie tematy splątają w całość dziwnie groteskową. Padają takie śmiesz-

nie spieszczone imiona jak Lala, Gucio, Lolo, padają nazwiska tak ogromnie przejmujące swym historycznym brzmieniem, że mnie „prostaka z gminu” bogobojny lęk ogarnia i zaczynam się kajać z żalu, że znalazłem się w tak dostojnym gronie ludzi, tworzących kiedyś historię Polski. Wprawdzie usiłuję mnie pocieszyć Berent swoim „Nurtem”, z którego wyczytałem ku zbudowaniu swego gminnego serca, iż moi przodkowie ze Śląska cieszyńskiego walczyli również pod Dąbrowskim w Legionach włoskich jako „gemajni”, lecz słaba to pociecha.

Zdaję sobie sprawę, że owa depresja psychiczna — to zjawisko przejściowe i dlatego też bez większego żalu za straconym czasem miałem włączyć się po okolicy. Przypuszczałem, że znajdę w niej radosne wypełnienie dnia, lecz przekonałem się, że u każdego jego kresu, chociażby nie wiem jak bardzo czystego i jasnego, błąka się nieuchwytny smutek bez nazwy. Co zacz ów smutek, skąd jego pochodzenie — nie wiem. Stwierdzam tylko jego istnienie, jak zapach szarej, brudnej Iséry w dolinie lub dojmujący krzyk koników polnych czy świerszczy, które w skwarze południa obwieszczają światu swe nikłe istnienie jednostajnym, wysokim, metalicznym tremolo.

Zanurzam się w niewytrzebionym gąszczu nad Isèrą i doznaję wrażenia, że po wtórny raz przeżywam te same wrażenia, jakie przeżywałem przy czytaniu książek o niesłychanych przygodach w dżunglach. Tylko czekać, skoro z gęstwiny wynurzy się łeb tygrysa z podniesioną górną wargą, że tylko okrutne kły błyskają, lub skoro z przybrzeżnego bagniska wyłoni się głowa krokodyla z rozdziawioną paszczką. Ani jedno ani drugie! Brudna Iséra toczy się warkotem i bełkocze, a komary latają za mną i tną do krwi. Wlokę się tedy w skwarze przez winnice, po brunatnej, spękanej ziemi, wśród szpalerów ogromnie zielonych winorośli, urwę czasem jagodę winogrona, rozgryzę i z ulgą wyczuwam na języku kwaskowaty, chłodny smak jej soku. Przechodzę przez jakieś sady, pod jabłoniemi, pod którymi leżą duże, twarde jabłka. Podniosę jedno, nagryzę, kwaskowaty smak rozejdzie się po języku i jabłko odrzucam. Wszak tyle ich tutaj leży!... Wymyślam w duchu na lenistwo francuskich chłopów, iż pozwalają gnić owocom pod drzewami. W tej samej chwili przybiega wspomnienie obozu i głodu, takiego ogromnego głodu, wiódącego z sobą upodlenie człowieka. Lecz to było już bardzo dawno!... Błąkam się potem przez wsi francuskie o wyludnionych ścieżkach, cichych, milczących, kamiennych. Słońce

wyleguje się leniwie pod wysokimi, kamiennymi ogrodzeniami, praży się pod kamiennymi ścianami chałup, chałupy zaś o zamkniętych okienicach drewnianych czynią wrażenie, że tędy obozowy głód przeszedł, ludzie wymarli co do jednego, a teraz straszny w nich jakiś zapomniany półtrup ludzki, odkryty brudnym, zawoszonym kocem, ropiejący otwartymi ranami flegmony, obrzękły wodną puchliną. Oto w nieoczekiwanej chwili wyczołga się spoza węgla na rozpaloną ścieżkę kamienną, wyciągnie strasznie chude ramię i zacznie bełkotać ochryple :

— Chleba, chleba... — Podobnie jak w obozie u nas!...

Nie ma go ! Nie ma tamtego żywego trupa za węglem kamienną chałupę. Jest tylko cisza, niepokojąca cisza i nic więcej. Jaszczurka śmignie czasem pod stopami, szybka, zwinna, szara, wybiegnie na wysoki mur i teraz sunie po nim aż na grzbiet ściany. Tam przystanie i patrzy na mnie ciekawie. Drobniuchne, czarne oczy jej stają się wyczekujące. Potem coś jej strzeli do główki i zniecka ucieknie. Przejdę całą wieś, a ludzi nie spotykam. Przejdę drugą wieś, trzecią, wszędzie to samo niepokojące milczenie i cisza. Nie ma ani ludzi, ani krów, ani psów. Zdarzy się czasem jakiś zabłąkanie. Lecz spojrzysz tylko na mnie, pomacha ogonem i odchodzi.

Cisza niepokoi mnie coraz bardziej.

— Gdzież macie dzieci ? — pytam jakąś staruszkę, co się grzeje w milczeniu na kamiennym progu. — Gdzież macie dzieci ?

— Dzieci ? — mamle staruszka i czyni z dłoni daszek nad wyblakłymi oczami.

— Tak ! Iżeci !... Dlaczego u was dzieci nie krzyczą, nie hałasują ?...

— Nous avons peu d'enfants... — mruży jakby zrezygnowana i zapada znowu w milczenie.

Więś francuska bez dzieci czyni przygnębiające wrażenie. Więś francuska bez dzieci wywołuje wrażenie, że istotnie przeszła przez nią jakaś zaraza, która wszystko żyjące w niej wydusiła. Więś francuska jest smutna, jest tak bardzo smutna, że stokroć milej mi w szczerym polu wśród rozkrzyczanych świerszczy.

O zmroku staje się już zupełnie ponura. Ludzie pokryli się wewnątrz domostw, odgradzili od świata wysokim murem parkanów kamiennych i zamkniętymi okiennicami, poszarzały mi od deszczów i słońca, a moje kroki dudnią po drodze, jak po dnie kamiennej studni, wypełnionej szarym zmrokiem.

Nie mogę się oprzeć złudzeniu, że lada chwila otworzy się znienacka zatrzaśnięta okiennica, że ktoś wyjrzy zdumiony na ulicę i że zawoła na mnie: — Złodziej się skrada!... I że wtedy może wieś napełni się bełkotem ludzi, co na drodze wybiegli żli i rozgniewani.

Żeby przynajmniej otworzyli okiennice! Wtedy ożywiłaby się rozświetlonymi oknami, nabrałaby życia. Jak u nas w Polsce.

Kiedy wychodzę z takiej wsi, nikt za mną nie wygląda. Chodzę samotny wśród winnic, wśród rozkrzyczanych świerszczy, a poza mną w mroku czerni się kamienna wieś, jak ogromne cmentarzysko, przede mną zaś, w głębi zstępującego mroku płoną lasy na stokach Alp. Jakby się tam ogromne stada wilków zbiegły i teraz skrósł nocy wyblaskują ich drapieżne ślepia.

Zapada w końcu dzień, ja wracam pod swoją morwę i spostrzegam, że na jego dnie nie pozostało nic innego, jak nieokreślony smętek bez nazwy. Wczoraj jednakże znalazłem dla niego nazwę! Bo oto przyplątało się do mnie wspomnienie książki czytanej kiedyś w obozie. Była to książka o Michale Aniele. A wśród wielu dziwnych, niezwykle dziwnych dla mnie obrazów i słów, zapamiętałem jedno zdanie: „Non nasce in me pensier che non vi sia dentro scolpite la morte”...

Wspomnienia z obozu zwały się tłumem, skojarzyły z widokiem błotnistej Iséry, z ponurą ciszą bezdzietnych wsi francuskich, z mrowiem gnijących jabłek pod jabłoniąmi w opuszczonych sadach, z pożarem lasów alpejskich w głębi nocy i ze smętkiem u kresu dnia każdego. I wszystko znalazło swój zbiorowy wyraz w skardzę Michała Anioła, iż ani jedna myśl nie zakiełkuje w jego duszy, która by nie nosiła oblicza śmierci.

Już zdołałem się oswoić z widokiem nadmiaru chleba, już przestałem chować skrętnie każdy jego ułomek w obawie, że mi go może braknąć. Słowem — pozbyłem się już nałogu, wyniesionego z obozu. Lecz kiedy wczoraj ujrzałem gnijące jabłka na wysuszonej trawie w sadach francuskich chłopów, wspomnienie wróciło.

Ujrzałem nasz głód w obozie, w którym każda dojrzewająca myśl nosiła w sobie oblicze śmierci. Ludzie w obozie byli głodni, celowo niedożywiani, żeby mogli powoli konać. Racje chleba były tak mizerne, że mało kto mógł się oprzeć pokusie, żeby jej nie pożreć od razu. A kto się oparł, narażał się na tę możliwość, iż głodny kolega skradnie mu ją w nocy i pożre.

Wtedy działały się rzeczy nie spotykane wśród ludzi sytych. Oto złodziej podlegał samosądowi kolegów. Bił go nie tylko okradziony kolega, bili go wszyscy, a przede wszystkim prawo sądu i kary uzurpował sobie izbowy lub blokowy. Ów kawałek chleba kosztował nieraz życie złodzieja. Bito go bowiem, aż konał pod razami. Lub zbitego zawlekano na rewir, gdzie również konał, gdyż pielęgniarki odnosili się do niego z tą samą wrogością, co koledzy jego na bloku. A jeżeli wyszedł z rewiru, nie miał już dostępu do gromady ludzkiej, lecz wyrzucony poza nawias jej życia, pętał się niemrawie po obozie, odprowadzany złymi spojrzeniami ludzkimi, popychany, odtrącany, poniewierany, że w końcu ginął.

— A niech zdycha!... — mawiali koledzy, patrzący zimno na jego agonię. — On chleb kradł kolegom ze szafek.

Wytworzyło się bowiem twarde, niepisane prawo, obowiązujące wszystkich ludzi w obozie, że największą zbrodnią — to kradzież chleba, i że śmierć takiego głodnego człowieka, dopuszczającego się kradzieży, to śmierć zasłużona i nawet konieczna. Swą kradzieżą bowiem naraża innych na śmierć głodową. Jeżeli się go więc zabije, jeżeli się go zatłucze kijami, to kara będzie sprawiedliwa, bo zasłużona.

Głodny człowiek rzucał się więc na obierzyny z gotowanych kartofli, a wyrzucane do śmietników. Żał je ukradkiem, bo rozsądniejsi koledzy wzbraniali mu tego. I również ginął na jakiś paraliż kiszki, czy coś podobnego.

Ludzie głodni chodzili po obozie wychudzeni, z wytrzeszczonymi oczami, wiecznie myszkujący nimi po ziemi, wystający pod oknami w czasie pory obiadowej, wylizujący ukradkiem wystawione kotły opróżnione z brukwi czy kapusty, grzebiący w śmietnikach, żebrzący pokornym, upodłym głosem o jeden ziemniak, o zgniły już ziemniak, wyrzucany do ustępu.

„Esmani” mieli stąd radość, bo wiedząc, że głodny człowiek zdolny już do ostatniego upodlenia, przynosił chleb z sobą, drobili na kawałki i wrzucali do błota lub do ścieków kanałowych. A potem zwoływali więźniów i kazali im ów chleb wybierać ustami i zjadać. Jedni czynili to pod przymusem, bici i kopani, inni zaś ochotnie i ci właśnie stanowili najwięcej sadystycznego zadowolenia dla „esmanów”.

— No, masz! żrej! — wołali, rzucając połamane skiby chleba w błoto lub w gnojówkę. Głodny człowiek schylał się, cmokał ustami w błocie, zbierał chleb wargami, połykał nie-nasyconie. „Esman” zaś, człowiek zbydlęcony do ostatnich granic, nadymał się wtedy pychą i świadomością swej fizy-

cznej przewagi nad tamtym robakiem ludzkim, grzebiącym się w błocie, czuł się podniesionym do rzędu owych nadludzi, o których mu prawili prostacko rozumiany i prostacko komentowany ich filozof Nietzsche.

Z początku nas to dziwiło i przerażało. Potem przestało nam to być dziwnym. Nawet wówczas, kiedy w okresie największego natężenia tyfusu, głodny człowiek uciekał się do makabrycznych podstępów, mających na celu zaspokojenie swego parszywego głodu. Bloki były przepełnione. Gdzie zazwyczaj powinno mieścić się najwyżej 320 ludzi, dochodziło do 2 tysięcy więźniów. Bloki nieparzyste były przeznaczone dla chorych na tyfus i dla nowych transportów z innych obozów. Ludzie marli tam dosłownie, jak muchy. Codziennie rano wynoszono zmarłych w ciągu nocy, układano na stopy pod ścianą, a opróżnione miejsca wypełniano nowymi głodnymi ludźmi. I zdarzało się, że koledzy przetrzymywali zwłoki pomarłych swych kolegów przez kilka dni w łóżku, że spali koło nich w nocy, a za dnia leżeli obok nich, a gdy przychodził do nich izbowy z chlebem, pobierali chleb za siebie i za tamtych umarłych.

— On śpi! — wołali. — Nie warto go budzić. Prosił mnie, żebym chleb dla niego wyfasował!...

Izbowy wierzył, tym bardziej, że w tak ogromnym tłoku nie chciał przepychać się na trzecie piętro barłogów, by sprawdzać, czy dotyczący więzień istotnie śpi. Rzucił więc chleb dla niego, chwytany łapczywymi dłońmi kolegów. A kiedy smród rozkładającego trupa był już do niezniesienia, wyrzucali go na dwór, by „fasować” chleb za innego zmarłego kolegę, znowu ukrywanego w barłogu.

Nie zdziwił nas bardzo i ten szczegół, opowiadany przez grupę Polek, przybyłych do naszego obozu pośrednio z Oświęcimia, a nie odbiegający w swym makabryzmie od ukrywania trupów w łóżku. Oto żydówka rodzi dziecko w obozie. „Esmanka” pomaga jej przy porodzie. Potem noworodka ujmują wyuczonym już ruchem za szyję, ścisną mocno i noworodek przestaje żyć. Trupka owija wata, wata oblewa benzyną, podchodzi do pieca, na którym więźniowie-kobiety przegrzewają sobie w menażkach resztki obiadu. Wszystko to dzieje się w tej samej izbie, na oczach położnicy. „Esmanka” odsuwa menażki z blachy, wyjmując kilka kręgów i wrzuca noworodka do ognia. Następnie nakłada kręgi na otwór i odchodzi. A głodne kobiety spokojnie przesuwiają z powrotem swoje menażki na środek blachy i znowu grzeją resztki swego obiadu...

Przeraził nas jednak inny objaw głodu ludzkiego, kiedy w sierpniu roku 1942 przybył do Dachau transport więźniów z obozu w Stuthofie pod Gdańskiem. Przytaczam tutaj in extenso zeznanie kolegi Zielińskiego Józefa z Gniezna, przebywającego w obozie w Dachau przez 5 lat, a pełniącego obowiązki pisarza blokowego przez 4 lata przeszło. Zeznaje on, co następuje :

„W sierpniu roku 1942 przybył do Dachau transport więźniów politycznych z obozu w Stuthofie pod Gdańskiem. Transport ów liczył 900 osób. Na drogę otrzymali zaprowiantowanie na 5 dni. Ponieważ w drodze znajdowali się 14 dni, przeto przez następnych 9 dni nie mieli już nic do jedzenia, podobnie jak nie dostawali wody po wyczerpaniu tych zapasów, które otrzymali w chwili załadowania ich w Stuthofie. Transport ów przybył do Dachau w stanie okropnym. W wagonach leżeli wyczerpani żywi ludzie obok rozkładających się trupów. Nikt z żywych nie był zdolny do marszu ze stacji w Dachau do obozu, i wszystkich musiano przewozić. Po wyładowaniu trupów okazało się, że prawie wszystkie zwłoki miały wygryzione i wyszarpane miękkie części ciała, jak pośladki, genitalia oraz części gardła i szyi. To towarzysze żywi się ich ciałem, broniąc się w ten sposób przed śmiercią głodową. Zwłoki te zwieziono na plac apelowy w obozie w Dachau, ułożono pokotem nagie, a grupy „esmanów” przyglądały się im z wyraźnym zadowoleniem i fotografowali je. Żywi zaś więźniowie znajdowali się w takim stanie wyczerpania, że prawie nie reagowali na nasze pytania i na zewnętrzne bodźce, siedzieli apatyczni pod ścianą i robili wrażenie obłąkanych. W ciągu następnych dni większa ich część zmarła.”

Kiedy po przybyciu Amerykanów jąłem szukać uczestników owego transportu, nie znalazłem już nikogo. Ostatnich dwóch, co jeszcze pozostało w obozie do końca, już nie zastałem. Po prostu uciekli w chwili zamieszania, poszli na własną rękę na wolność. Co się stało z innymi — nie wiem. Przypuszczam, że większość wymarła, a niewielka grupka ich pojechała znowu z transportami do innych obozów.

Na bloku 8, gdzie przebywali ci ostatni ludożercy ze Stuthofu, powiedziano mi jeszcze kilka szczegółów o nich.

— To był jeden „rusek” (Rosjanin) i cygan. Lecz obaj uciekli wczoraj — objaśnił mi gadatliwy kolega. — A oni obydwaj żarli ludzkie mięso. Jenó że cygan żarł je na surowo, co nożem wykrajał z pośladków swemu umarłemu kole-

gowi, a ten drugi, ten „rusek”, brzydził się bardzo i nie jadł tego mięsa na surowo, jeno je sobie upiekł na ogniu...

— Na ogniu ?

— No, jako prawie ! Na ogniu!... Wyrznął też kęs mięsa i upiekł na ogniu. We wagonie. Miał zapalki, nalupali oszczapów z podłogi, zrobił ogień niewielki na postrzodku wagonu i upiekł.. No, a potem zjadł!... A ci insi, to tak żarli, wszyscy, na surowo!... Ja, ja!... — dodał sentencjonalnie — kto nie zaznał głodu w obozie, to temu nigdy nie uwierzy. No nie ?...

Wspomnienia przewalały się jak czarna burza, a teraz pętają się koło mnie tylko strzępy poszczególnych obrazów.

Oto widzę nieszczęśliwych opuchlaków, grubych, niezdar-nych, utykających, o cierpiącym wyrazie twarzy. U jednych nogi zgrubiały jak konwie, że z trudem wciągają na nie nogawki, inni znowu z obwisłym brzuchem lub z grubymi łapami, inni jeszcze z sinymi workami pod oczami. Jeżeli nacisnąć palcem puchlinę, poddaje się jak ciasto i przez dłuższy czas pozostaje sine wgłębienie.

Opuchlaków brano na rewir i przeprowadzono cudaczną kurację. Oto kładziono nad nim coś w rodzaju sklepionego rusztowania, nakrywano kocami, a pod rusztowaniem zapalano szereg elektrycznych lampek. Temperatura szybko wzrastała, a chory jął z siebie wypacać nadmiar wody. Czy serce wytrzymało takie leczenie, to już nie była rzecz ani lekarza-esmana, ani pielęgniarsza. Chory zgłosił się z wodną puchliną, więc zastosowano radykalne leczenie. A jeżeli ma słabe serce, to nie powinien leczyć się z puchliny, lecz na serce. I w rezultacie chory umierał.

Człowiek w obozie lękał się tej kuracji. Męczył się długo, usiłował nie pić wody, usiłował nie jeść wodnistej zupy wieczorem, i w końcu również umierał.

Jeszcze gorzej na tym wychodził, jeżeli przywinęła się flegmona. W obozie po pierwszy raz spotkałem się z tą nazwą i z tą chorobą. Oto utworzyła się mała ranka, ranka zaogniła się, zaczęła się gnoić, ropa ją ją wyciekać i z dniem każdym powiększała się i obejmowała całą nogę. Teraz już ciało zamieniało się w gnijące ścierwo, cuchnące trupem, ropiejące obficie, ogromnie, bolesne. Koledzy unikali chorego, bo nie mogli znieść smrodu gnijącego ciała. Nieszczęśliwy zgłaszał się na rewir. Poprzednio musiał stanąć przed komendantem obozu na placu apelowym.

Ustawił się długi sznur cuchnących Jobów, połamańców, opuchlaków mizernych, chudzielców rozpaczliwych, kalek,

ludzi chromych, ślaniających się, skulonych, dyszących z trudem, a wszyscy podobni już nie do ludzi, lecz do łachmanów wyrzuconych z pogardą na gnojowisko. Przychodził komendant obozu w towarzystwie „Raportführera” i pisarza rewirowego. Zaczynało się badanie. Komendant przykladał dłoń do czoła chorego i zazwyczaj kopnął go kolanem w podbrzusze lub butem w ropiejącą goleń. Kopnięty zawył i zwał się na ziemię. Wtedy podbiegł „Raportführer” i dalszym kopaniem zmuszał chorego do podniesienia się i do odejścia.

— Nie chce ci się pracować, ty świński psie!... — warczał nad nim szyderczo.

Nieprzyjęci na rewir przez komendanta kończyli swój bolesny żywot na bloku, gdzieś w ustępie, w umywalni lub pod ścianą. Przyjęci — kończyli swój bolesny żywot na białym prześcieradle w łóżku na rewirze. Jeżeli za długo uprzykrzał się swoim żebraczym życiem, przychodził rewirowy Kapo i dawał mu zastrzyk. Wtedy chory konał na oczekaniu.

Głódny człowiek w obozie patrzył na to ze zwierzęcym lękiem. I każdego dnia oglądał swe nogi i dłonie, naciskał ciało kciukiem i patrzył z niepokojem, czy po jego odjęciu nie pozostanie wgłębienie. I codziennie patrzył na swoje nogi, czy nie pojawiła się na nich mała, ropiejąca ranka. Jeżeli nie, odychał z ulgą i szeptał:

— Chwała Bogu! Jeszcze nie!...

I każdy dzień był mu wtedy, jak brudna, zmięta szmata, odrzucona z ulgą poza siebie. Lecz każda kielkująca myśl u niego kryła w sobie oblicze śmierci...

Moja najmilsza Władko !

Dzisiaj w nocy nadeszła burza.

Po szczybatych graniach Belledonne jęły latać oszalałe błyskawice, dolina Iséry pławiła się w zielonkawym świetle, ciężki grzmot staczał się ze stoków, mój rudy kotek skrył się przerażony pod łóżkiem, a ja doznawałem wrażenia, że to znowu niezliczone eskadry samolotów lecą nade mną i zrzucają bomby na Monachium.

Odżyły stare, wyblakłe już wspomnienia tamtych radośnych nocy obozowych, kiedy Monachium płonęło, jak olbrzymia smolna żagiew, a człowiek za kolczastymi drutami patrzył urzeczony w gorejące niebo i sycił się rozkoszą pomsty za swoje krzywdy.

Potem burza przewaliła się na drugą stronę Belledonne, a pozostał tylko szumiący deszcz. Szeleścił w ciemności w liściach morwy, cichy, usypiający, jednostajny, noc zaś zapachniała chłodną wilgocią i oddechem strudzonej ziemi. Deszcz obmył powietrze ze skwaru, splukiwał szary pył z liści, poił splekaną ziemię, a mnie przypomniało się — co za głupie przyzwyczajenie! — a mnie się znowu przypomniały nasze długie apele podczas takiego deszczu. Staliśmy i staliśmy, skurczeni, dygocący z zimna, a deszcz nie ustawał. Cienkie, drelichowe łachy na grzbiecie nasiąkały nim jak gąbka, a potem wyczuwało się, jak chłodne strużki wody ciekną od karku wzdłuż kręgosłupa, jak zatrzymują się w pasie obciśniętym rzemieniem, a jak potem wysuwają się ich zimne macki, obmacują uda, pełzną wzdłuż goleni i docierają do wnętrza buciorów. Dreszcz oblatwał ciało, a zęby szczękały tak mocno, że trudno było już nawet to zwykłe przekleństwo wydusić z siebie.

A kiedy złośliwa radość „esmanów” była już dostatecznie nasycona, pozwalano nam wracać na bloki. Byliśmy źli, wściekli w poczuciu swej bezsilności, wybuchający klątwami i gryzącym gniewem częstokroć bez wyraźnego powodu. Najserdeczniejszy przyjaciel stawał się wtedy znenawidzonym człowiekiem...

Kiedyś, na wolności jeszcze, czytałem książkę niemieckiego pisarza, Dwingera, pod tytułem: „Die Armee hinter dem Stacheldraht”. Przeczytałem ją wtedy bez większego wzruszenia i odłożyłem, jak wiele innych książek, zwabiony do nich pociągającym tytułem lub przereklamowanym nazwiskiem modnego autora.

W obozie nadeszło mnie jej wspomnienie.

W ogóle w obozie nachodziły człowieka wspomnienia takich przeżyć, które zdawały się być już na zawsze pogrzebane w niepamięci. Fragmenty rozmów z lat chłopięcych, obrazy, doznania i radości, widoki łąk zielonych, tak bardzo zielonych, że trudno sobie wyobrazić, pierwsze nieśmiałe spojrzenie w czyjeś dziewczęce oczy, zapach kadzidła podczas majowego nabożeństwa w starym kościele karwińskim, fragmenty zapomnianych już melodyj, a przede wszystkim pierwsze wzruszenia czyste, jak woda kryniczna i jasne, jak oczy mojej matki. Przez długie czasy widziałem się wciąż małym synkiem, wędrującym doliną, zamkniętą obłymi wzgórzami. Po stokach leciał ciepły, szumiący wiatr i zgarniał dłońią łąny pszenicy. Złociste fale szły równymi rzędami wśród zboża. Na dnie doliny ciekła strużka dzwoniącej wody. A po jej

brzegach kwitły niezapominajki. Myśmy mawiali, że to żabie oczka. Ow błękit niezapominajek nie opuszczał mnie we wspomnieniach. Błękitniały od nich myśli, myśli zaś wywoływały wtórne wzruszenia równie błękitne, i w takich radosnych chwilach zapominało się o rzeczywistości obozowej.

W tłumie owych przeróżnych wspomnień nadeszło mnie także wspomnienie przeczytanej kiedyś książki Dwingera. I ze zdumieniem spostrzegłem, że w nas dzieje się to wszystko, co w opisywanym przez niego obozie jenieckim na Syberii. Że podobnie, jak jego towarzyszy, tak i nas trapi dziwna niemoc psychiczna, przezwana przez niego „Stacheldrahtkrankheit”. To znaczy, choroba drutów kolczastych.

Książka ta zdołała mi wytłumaczyć przede wszystkim to dziwne zjawisko psychiczne, polegające na tym, że najserdeczniejszy przyjaciel w obozie stawał się obmierzłym, częstokroć znieawidzonym człowiekiem. I zrozumiałem także, dlaczego polski oficer łącznikowy, którzy przyszedł do nas po uwolnieniu naszego obozu przez Amerykanów, orzekł, że my wszyscy w obozie jesteśmy anormalni. Tak, on to mógł zauważyć, przybываяc do nas z innego świata, z wolności.

Myśmy byli odgradzeni od niego kolczastymi drutami. Żyliśmy tylko własnymi wspomnieniami i szarymi, mizernymi przeżyciami, ścieśniającymi się jedynie do zagadnienia głodu, śmierci i rozpaczliwych wysiłków o utrzymanie się przy życiu. Jedyną stałą radość stanowiło zaspokojenie głodu, położenie się w barłogu i papieros.

Inną radością zaś, przypadkową, była książka z niemieckiej biblioteki obozowej, a następnie książka polska, „organizowana” z monachijskiego Gestapo ; był list z anemicznymi wiadomościami z kraju, list częstokroć mocno powycinany lubo skreślany przez „esmana”-cenzora ; albo też były nią dla niektórych karty, dla niewielu zaś szachy ; a — czasem stanowił ją cygan ze skrzypkami, przybłąkany na blok i grający cygańskie i węgierskie melodie za kawałek chleba lub za kilka papierosów.

Najpiękniejszą radością zaś był okres Bożego Narodzenia, kiedy chór księży polskich śpiewał nam kolędy. Wówczas najbardziej dopraszaliśmy się góralskiej kolędy o „Jezusku, malućkim jako rękawicka”.

Boże, jakaż to była śliczna kolęda !..

O, niezapomniane owe zimowe wieczory, duszne, gorące, z trzaskającym mrozem na dworze!..

W natłoczonej izbie, w zbitej gęstwie ludzkiej stał chór i śpiewał. Na cztery głosy. Wszyscy słuchali z zapartym od-

dechem, nie odważając się nawet głośno oddychać, by nie uронić najmniejszej drobinki z tamtego śpiewu. Śpiew zaś pozwalał każdemu przeżywać najśłodszą uludę, że znajduje się między swymi w kraju, że razem z nimi śpiewa o betlejemskim cudzie, że właśnie w tę noc, a nie inną, rodzi się Chrystus na ziemi, tak bardzo upragniony Chrystus !...

A gdy w końcu śpiewacy zanucili kolędę o „Jezusku małućkim jako rękawicka”, któremu góral czyni wymówki, iż opuścił niebiosa, żeby wybrać ubogą stajenkę, i — litując się nad nim — zaprasza do swojej chałupy, gdzie go uraczy ciepłym mlekiem, — kiedy tę kolędę zaśpiewano, człowiek w obozie zapomniał już teraz do ostatka o swej nędzy i krzywdzie. Upojony słodką i rzewną melodią zamykał oczy i pozwalał się nieść wzruszeniu do swoich w Polsce, na Pasterkę wśród najbliższych. Widział siebie idącego w granatowym śniegu, pod roziskrzonym niebem, w ciszy i dostojństwie jedynie nocy w Polsce. Widział siebie w starym kościółku jedlinowym, pełnym tajemniczego mroku i pełnym rozmodlonego szeptu. I widział, jak ksiądz proboszcz — który już dawno pomarł — idzie do ołtarza, poprzedzany ministrantami, i jak przy ołtarzu zaczyna Pasterkę. Organista na pawlaczu dudli z przejęciem na starych organach, organy grają, ludzie śpiewają, ołtarz jarzy się w granatowym mroku, a ksiądz proboszcz rozmawia z Jezuskiem w królewskim języku. Ministranty raz po raz zaszczerkają dzwonekami, a głowy ciżby ludzkiej chylą się nisko do ziemi i czynią pokłon rodzącemu się Bóstwu. Serce zaś wzbiera nieokreśloną tkliwością po brzegi, tkliwością tak rzewną i tak wielką, że już teraz nic więcej w nim nie uświadczysz, jak tę bezmierną miłość do wszego stworzenia na ziemi.

W końcu dychawiczne organy nabiorą szerokiego tchu i zaczną grać najśliczniejszą kolędę na całym świecie, kolędę o „Jezusku małućkim jako rękawicka”...

O, Jezu Chryste !...

W ciasnej, dusznej izbie w obozie roztworzył się teraz na rozcień zaczarowany ogrojec wspomnień tak bardzo radosnych, że już teraz trudno wstrzymać wzbierające wzruszenie i trudno stłumić łzy, te strasznie głupiutkie łzy, co dławią i dławią, aż w końcu zdołają wypętlnąć spod powiek i zatrępotać bezradnie na rzęsach ...

O, gloria, gloria, in excelsis Deo!...

Takie, Władko, było nasze najradośniejsze przeżycie w obozie, raz tylko w roku, raz tylko w ciągu tak strasznie długiego roku!...

Smieszne to może, że Ci o tym piszę, lecz przecież pragnę Ci o wszystkim pisać. Nawet o takich naiwnych przeżyciach, których dzisiaj należy mi się może wstydzić. Lecz cóż, kiedy były tak niezwykłe, że trudno mi o nich przemilczeć!

Zresztą wiem-ci ja dobrze, że i Tobie nie były one obce na Węgrzech czy w Bunzlau wśród Niemców.

Wspomnę o jednym jeszcze przeżyciu, nie mniej wielkim, radosnym i głębokim. A jednak odmiennym.

Oto w naszym obozie zaszedł fakt, który wywołał ogromne wrażenie, połączone ze zdumieniem i z niedowierzaniem. Przeszedł do nas z początkiem zimy 1942 roku nowy komendant obozu, Weiss, i z tą chwilą dotychczasowy kurs exterminacyjny wobec nas więźniów dziwnie złagodniał. Właściwie życie w obozie było wciąż jeszcze piekłem, lecz jakby piekłem zlekka pomniejszonym. Kapom nie było już wolno bić więźniów, a godzinne apele wieczorne skrócono do 10-minutowego stania na placu. Poza tym nie udzielono wyraźnego zezwolenia, lecz tolerowano pobłażliwie nasze wysiłki w kierunku stwarzania przez więźniów dla więźniów pewnych rozrywek kulturalnych. Nie było to dyktowane jakimś humanitaryzmem ze strony władz obozowych, lecz pragnieniem wyzyskania bezpłatnych sił roboczych. Najdosadniej określił nam to jeden z „esmanów”:

— Dotychczas byliście wysyłani do obozu na „wykończenie”, a teraz na bezpłatną pracę, która was także powinna „wykończyć”. Wynika z tego, że trochę dłużej pożyjecie, a nam pomożecie do końcowego zwycięstwa!

Więźniowie-Niemcy wykorzystali tę sposobność i stworzyli tak zwaną „Freie Bühne”, na której jęli popisywać się chórem, skeczami i kabaretowymi sztukami.

W grupie polskiej zawrzało, ludzie otrząsali się z marazmu, rozpoczęli myśleć o czymś podobnym. Lecz o czymś takim podobnym, co by jednak przewyższyło popisy niemieckich kolegów.

Pracy tej podjął się pisarz z bloku 16, Walter H n a u p e k, Ślązak z Cieszyńskiego. Był to człowiek młody o niezwykłych zdolnościach organizatorskich, a równocześnie mocny, twardy i uparty, częstokroć nie przebierający w środkach dla przeprowadzenia swego planu. Środki te mogły się komuś z naszych nie podobać, mogły budzić zastrzeżenia, zwłaszcza jeżeli nie znało się jego zamiarów. I aczkolwiek zjednywało mu to sporo przeciwników, a w końcu nawet i wrogów, to w rezultacie osiągał swój cel, a który miał zasze na oku dobro polskiego więźnia. Kapitalne były jego

metody w ratowaniu kolegów przed transportami do innych obozów gdzie istniały zawsze gorsze warunki, a często niechybna śmierć. Czynił to w sposób zuchwały, graniczący z bezczelnością, fałszując listę wybranych na transport, wpisując do niej fikcyjne numery i fikcyjne nazwiska na miejsce ratowanych. Potrafił się wyłączać z tupetem z najgorszej opinii wobec władz, podejrzewających go o te sprawy. Wydobywał podstępem ludzi naszych z t. zw. „złych komand”, a przenośli ich do „dobrych komand”. A równocześnie tępił wszelkie szumowiny obozowe, awanturników, złodziei i różne „ciemne typy”, przenosząc ich podstępem do transportów na wysyłkę do „komand” zamiejscowych lub do innych obozów.

Muszę przyznać bezstronnie, że wielu Polaków w obozie zawdzięcza mu swoje życie. Ja również, gdyż mnie wyciągnął z transportu do obozu w Buchenwaldzie.

Co najbardziej uderzającym było u niego, to ów dar organizatorski.

Stworzyć polski występ w obozie? Ha, już się robi!..

Skupił koło siebie dużą gromadę ludzi, którzy zaczęli „organizować”. A więc buty, materiał na kostiumy, pawie pióra, skórę, karabele, ciupagi, portki cyfrowane, ogromnego smoka wawelskiego, zmajstrowanego przemyślnie z obręczy, zawiasów, sprężyn i płótna żaglowego, kurtynę i kulisy, lampki elektryczne i reflektory, gwoździe i deski, farby, pędzle, nici i tekturę — słowem cały olbrzymi inwentarz, którym mógłby się pochłubić porządny teatr w średnim miasteczku niemieckim. I gdy jedni ukradkiem szyli kostiumy, inni znowu malowali dekoracje (to już była robota zacnego Staszka Wilczyńskiego i jego kolegów, szyli buty, strugali karabele z drzewa, klecili smoka, chóry ćwiczyły co wieczora po pracy, a orkiestra na drugim krańcu obozu zwabiała pod okna baraku wielkie tłumy więźniów, przysłuchujących się próbom.

Prócz ćwiczeń chóru i orkiestry wszystko inne musiało się dziać ukradkiem, pod bokiem „esmanów”, a którzy o niczym nie wiedzieli. Coś niecoś wiedzieli niektórzy prości żołnierze esmańscy, którzy pomagali więźniom w przenoszeniu przez bramę „zorganizowanych” przedmiotów za papierosy i za poczęstunek za szafką Hnauka. Lecz papierosy i wódka były również „zorganizowane”.

W jaki sposób to wszystko robiono, jak zdołano uchronić się przed „nakryciem” ze strony władz obozowych, tego już nie mogę pojąć. Wiem tylko, że spryt Hnauka święcił tutaj triumfy. Hnaupek zaś rozdawał się, potrajał, a robota szła.

Po obozie błąkały się niejasne wieści o tym wszystkim. Jedni wyczekiwali wyniku z niecierpliwością, inni zaś przewidywali generalną „wspygę” i dlatego też usuwali się przezornie od wszelkiego współudziału, a inni jeszcze chętnie wieszczyli zupełne fiasko i zblażnienie się przed całym obozem.

W końcu nadszedł długo oczekiwany wieczór niedzielny.

Przed sceną, postawioną na otwartym powietrzu koło łaźni, zebrały się ogromne tłumy więźniów. Każdy musiał przynieść z sobą stołek z izby, by miał na czym siedzieć. Chór i orkiestra usadowiły się po bokach sceny. Na pierwszych miejscach zasiedli zaintrygowani „esmani” z Raportführerem na czele.

Popis rozpoczął się punktualnie o wyznaczonej godzinie.

I z miejsca pierwsze zdumienie! Bo zamiast dzwonka, jak się to dzieje w każdym, chociażby najmizerniejszym teatrze, rozlega się za sceną Hejnał z wieży mariackiej. Najprawdziwszy Hejnał krakowski, czterokrotnie się powtarzający, a za każdym razem z niedokończoną melodią !...

O Chryste Boże !...

Hejnał przebrzmiał, a przed kurtynę wybiega chłopiec przebrany za Krakowiankę, niesie w dłoniach przed sobą duży czerwony trójkąt z literą „P” na środku. Był to powiększony trójkąt z naszych ubrań więziennych, znak upokorzenia, narzucony przez Niemców, a który w tej chwili urósł do dumnego symbolu polskości w obozie.

Dziewczyna z jasnymi warkoczami przeszła drobnym tanecznym krokiem, stanęła na środku, ukloniła się wdzięcznym dygiem i znikła po drugiej stronie. Teraz podnosi się kurtyna. I znowu głośne zdumienie, gdyż kulisy przedstawiają wnętrze kościoła Mariackiego w Krakowie, lecz wnętrze zniszczone przez wojnę.

Zaczęło się przedstawienie.

Na scenę wchodzi około 80 śpiewaków i rozpoczyna widowisko potężną pieśnią czterogłosową, o „Ziemi ojców naszych”. Kolega Kulawik, artysta-skrzypek ze szkoły muzycznej w Katowicach, dyryguje orkiestrą. Pieśń kończy się, kurtyna zapada, muzyka wciąż gra jeszcze, a gdy po niedługiej chwili kurtyna znowu się uniesie, przed oczyma widzów wdzieczy się wspaniały krajobraz tatrzański, zalany słońcem.

Trudno powiedzieć, co to było teraz. Balet czy melodramat, opera czy wodewil, muzyczno-wokalna pantomina czy „bajecznie kolorowa” rewia. Na ogromnej łące zbiera kwiaty Krakowianka i śpiewa, znienacka wyłazi z pieczary olbrzymi smok z rozwartą, kłapiącą paszczką i z wyhupianymi

oczami zielonymi, chce porwać dziewczynę, dziewczyna nieruchomieje z przerażenia i kwili bezradnie. Lecz w tej chwili zbiegają się harnasie z ciupagami, wspaniałe zbójniki z Janosikiem, zabijają smoka i porywają dziewczynę w taniec. Zbiegają się Krakowiacy, zbiegają dziewczyny, i teraz rozpoczyna się radosny, zapamiętały taniec zbójnicki z przyśpiewkami, przeplatany Krakowiakiem i znowu zbójnickim... Na scenie łączy się wszystko w jakiś wspaniały korowód taneczny, w jakies zaczarowane kolisko wstęg, pawich piór, rozwichrzonej tęczy, pełnej życia, radości, temperamentu, wszystko podobne do ogromnej rzeki wezbranej, która wystąpiła z brzegów i teraz leci na daleki świat, opętana swą siłą, swoją barwą, muzyką i śpiewem!... Mienia się w oczach wstęgi dziewczyn, biją hołubce, mijają roztańczone pary, przeplatają, znowu się rozwiną w korowód, czasem ustają. A wtedy Janosik śpiewa smętną pieśń zbójnicką, podchwyconą przez chór i orkiestrę. I znowu tańce, by w końcu z owego tęczowego tłumu wynurzył się poważny, stateczny korowód poloneza w szlacheckich strojach, z karabelami, z ukłonami, przechodzący stopniowo w mazura, co raz bardziej żywego, co raz bardziej szalonego, zapamiętałego do ostatnich granic.

Boże, co się działo z widownią?..

Widownia oszalała. Wszyscy zerwali się ze stołków, krzyczeli, klaskali, i znowu krzyczeli, i znowu klaskali, że nie sposób było ją uspokoić. A kiedy się wreszcie uciszyła, nastąpiła krótka cisza, na scenie wszyscy znieruchomieli, orkiestra zamilkła, chór czekał. Aż zniemacka pod niebo zerwała się wspaniała, buntownicza, triumfująca „Warszawianka”!...

Jezusku święty!... Słyszycie?... „Warszawianka”!... Oto dziś dzień krwi i chwały!...

Lecz co to? Wszak to melodia „Warszawianki”, pełnej radosnego buntu, a tymczasem tamci śpiewają: — Oto dzisiaj dzień żniwiarzy!...

Ach to tak? A więc to tak?!.. Zrozumieli wszyscy, o co chodzi. Tamta dziewczyna — to Polska, tamten smok porażony — to Niemiec, Janosik ze swymi zbójnikami — to my wszyscy, a teraz ten dzień żniwiarzy w „Warszawiance” i ten olbrzymi wieniec kłosiany, podany uratowanej Krakowiance na scenie — to zwycięstwo Polski, to jej żniwo wspaniałe!... Tylko przeczekać, tylko się nie załamać, tylko wytrzymać!...

Żniwiarska „Warszawianka” uderzyła w tłumy, jak ogromny huragan, co nadleciał z Polski. Jak ogromny, oszalały huragan, co teraz wszystko z sobą porywa, odwała jakies zeskorpiałe skiby z umęczonego serca, rozpała w nim radosny

pożar, porywa, ciska pod niebo i teraz niesie w świat z krzykiem, w daleki świat, na ostatni jego kraniec !...

O hej!..

Obok mnie siedzi stary więzień-Polak i chlipie głośno w dłonie.

A oto tam stoi młody chłopiec, krzyczy jeszcze, klaska w dłonie, a z oczu lecą ciurkiem łzy...

A najmocniej bił w dłonie Raportführer o rzeźniczej gębie.

Jeszcze dwukrotnie powtarzano ów występ, potem domagano się po czwarty raz, i to na życzenie Raportführera, który był na tamtych trzech występach. Lecz Walter H n a upek już nie chciał.

— Już dosyć ! — zdecydował twardo. — Taka rzecz nie śmie się opatrzyć, nie śmie spowszednieć. To raz ! A po drugie, to bydlę niemieckie, Raportführer, gotowe się połapać w tym wszystkim i powsadza nas do bunkra...

I skończyły się najpiękniejsze wieczory w obozie, lecz u wszystkich pozostało ich wspomnienie, krzepiące i dumne. Człowiek z obozu może dzisiaj zapomnieć o wszystkich mordach i bestialstwach niemieckich, może ręką machnąć na wspomnienie o swojej nędzy i poniewierce, lecz nie zapomni nigdy o tamtych wieczorach, podczas których uczuł się wielkim, dumnym Polakiem.

I aczkolwiek od owej chwili zaczynał się znowu zmierzch „łagodnego kursu”, zaczynało znowu powracać poniewieranie człowiekiem, usiłowania — by go poniżyć, upokorzyć, upodlić, już wszystko stało się bezcelowym. Polski człowiek w obozie zdobył najtrudniejszą pozycję w życiu : poczucie, takie dumne poczucie własnej wartości jako człowiek i jako Polak ! Dręczący wielu nas kompleks niższości został zwyciężony !

Na tym powinienem, Władko, skończyć mój i tak już długi list.

Ponieważ na początku jego zacząłem pisać o t. zw. „Stacheldrahtkrankheit”, poprowadzę rzecz do końca.

Poczucie własnej wartości pozostało rozbudzone aż do ostatnich dni obozowych. Lecz jednostajna szarzyzna codzienności przemieniła się jakoby w nikłą mysz przysłowiową, podgryzającą wytrwale korzenie dębu. Usiłowania — o których wyżej wspominam, by człowieka w obozie upokorzyć, poniżyć, a nawet upodlić, nie potrafiły już od tej chwili zabić w nim poczucia własnej godności, godności ludzkiej i narodowej. Lecz wykoszławiły jego szkielet psychiczny, przemie-

niały go w człowieka „anormalnego”, zaczynającego myśleć i czuć w życiu codziennym innymi kategoriami, aniżeli na wolności.

Zwężył się gwałtownie widokrąg czuciowy i myślowy, skurczył się do ciasnego wycinka, spowodował u nas tak zwaną żabią perspektywę, uniemożliwiającą właściwą ocenę wszelkich zjawisk życiowych w obozie i poza obozem. Ludzie stawali się małostkowi, przewrażliwieni, zwłaszcza na tle własnej osoby, wybuchowi. Coś się w nas rozluźniało, że z ogromnym wysiłkiem można było trzymać się w garści. Jak wspominałem, najwięksi przyjaciele stawali się wrogami i to z tak błahych powodów, że dzisiaj, na wolności, możnaby się z nich do łez zaśmiewać. Osobiste urazy, wynikające z drobiazgów, urastały do zbrodni, tak niesłychanych, że ludzie rozchodzili się na wolność, po opuszczeniu obozu, bez podania sobie ręki, z zapewnieniem, że do śmierci nie zapomni się tych rzekomych krzywd osobistych. Byli to nawet ludzie o wysokim poziomie etycznym i moralnym, nawet księża wybitnie religijni, każący o pokorze chrześcijańskiej i o przebaczeniu swym nieprzyjaciołom. I ci rozchodzili się ze swymi byłymi przyjaciółmi jako niepojednani jeżeli już nie wrogo, to przynajmniej przeciwnicy.

Były to wyraźne objawy pewnego rodzaju hysterii drutów kolczastych, na którą jedynym a skutecznym lekarstwem była wolność i znalezienie się wśród normalnych ludzi.

Poza tym choroba drutów kolczastych objawiała się jeszcze w osobliwym zwyrodnieniu seksualnym, które zastaliśmy w obozie wśród więźniów niemieckich. Z nielicznymi na szczęście wypadkami usiłowała zagnieździć się wśród więźniów polskich. Podkreślam mocno owe słowo „z nielicznymi wypadkami”, gdyż poza jednym wypadkiem homoseksualizmu i jednym wypadkiem nałogowego samogwałtu, doprowadzającego swą ofiarę do zupełnego zidiocenia, a następnie do śmierci na oddziale dla umysłowo chorych, innych wypadków nie zdołałem zanotować.

Tragiczniej przedstawiał się dla grupy polskiej homoseksualizm u więźniów niemieckich, zajmujących — zwłaszcza w pierwszych latach naszego pobytu w obozie — wszystkie kierownicze stanowiska w obozie. A więc Kapowie, izbowi, szefowie bloków i obozu, pracownicy rewirowi, pielęgniarze i pisarze w kancelarii obozowej — wszystka ta arystokracja obozowa, decydująca bardzo często o życiu więźnia polskiego, to typowi pederasci. Każdy z nich starał się założyć sobie po prostu harem z młodych chłopców polskich, a następnie

z chłopców ukraińskich i rosyjskich. Udawało się to przede wszystkim szefom bloków oraz izbowym, którzy tak zwany „Zimmerdienst” na bloku stwarzali sobie z takich chłopców. I zbytnio się nie kryli ze swych wynaturzonych popędów do nich, otaczali ich troskliwą opieką, chronili przed ciężką pracą i przed transportami do innych obozów, podsuwali im lepsze i obfitsze jedzenie, zdobyte kosztem reszty więźniów, pieścili ich w naszej obecności, głaskali, zamieniali się dosłownie w czułych kochanków, a w ukryciu zaspakajali na nich swe zwyrodniałe popędy.

Chłopcy ci, od 12 do 20 lat, przeważnie młodzież gimnazjalna, synowie rodzin polskich o szanowanych i cenionych nazwiskach w kraju, oddawali się tamtym bydlakom bez sprzeciwu, zupełnie jak dziewczka uliczna oddaje się przygodnemu mężczyźnie, bo jest albo głodna albo pragnie łatwego zarobku. Młodzież ta, obsypywana względami tak groźnych i silnych postaci w obozie, a z drugiej strony traktowana z pogardą ze strony starszych swych towarzyszy, przechodziła charakterystyczny proces psychiczny. Stawała się harda, wyzywająca, zarozumiała, wyniosła, pogardliwa w stosunku do starszych kolegów, traktując ich jako szare, nędzne pospólstwo. Usiłowała wyróżnić się od nich zewnętrznym wyglądem, zamieniając się w obozowych „lalusiów” w wyprasowanych „na kant” spodniach, w nowych i przeszywanych do figury marynarkach, częstokroć perfumujących się, o pielegnowanych paznokciach.

A gdy się „zestarzeli”, gdy już spowszednieli swym opiekunom, miejsce ich zajęli chłopcy rosyjscy i ukraińscy. Opiekunowie ich, mianujący się wszędzie z emfazą komunistami, usiłowali upozorować naiwnie swój stosunek do nich jakoby swoją sympatią polityczną, że to przecież młodzież komunistyczna, którą trzeba się zaopiekować. Nikt w obozie nie wierzył w tamte bajki, gdyż chłopcy ci, mniej inteligentni od polskich, wcale nie kryli się swoją rolą. Opisywali szeroko ze wszystkimi szczegółami, językiem mocno „jędrnym” każdy drobiaż z owej osobliwej miłości.

Zdarzało się czasem, że jeden i drugi „opiekun” wyspał się, a raczej wyspały go jego „dziewice”. Wtedy podlegał surowej karze ze strony władz obozowych, karze cielesnej i wysyłce do innego obozu. Inna rzecz, że ci, co go karali, byli tymi samymi pederastami.

W ostatnim roku naszej niewoli władze obozowe, jakby na większe urągawisko i zelżenie godności człowieka, urządziły w obozie dom publiczny z dziewczkami, sprowadzonymi

z obozu kobiecego z Ravensbrück. Pierwotnie dopuszczano tam tylko więźniów niemieckich, następnie w drodze łaski pozwolono tam uczęszczać Polakom i więźniom innych narodowości. Lecz tutaj więźniowie polscy, podobnie jak francuscy i jugosłowiańscy, potrafili uszanować swą godność. Po prostu zbojkotowano zupełnie „łaskę” władz obozowych. Jedynie nieliczna grupka młodzieży polskiej, rekrutująca się ze sfer kryminalnych, usiłowała korzystać w pełni z tak cennego dla nich przywileju. Lecz zbiorowa opinia grupy polskiej potępiła ich, a polscy pisarze blokowi zdołali się rychło z nią uporać, wysyłając ją z najbliższymi transportami do obozów w Sachsenhausen, Buchenwald i Mauthausen.

Założenie bowiem publicznego domu w obozie uważano za jeden z licznych środków, mających na celu upodlenie człowieka.

I więzień polski wyszedł tutaj zwycięsko.

Męczyło za to zbiorowe życie obozowe. Było ono tak urządzone, że więzień nie mógł nigdy być sam z sobą, że samotność była nie do pomyślenia. Czy to było czytanie książki, czy spożywanie posiłku, pisanie listu czy rozmowa z przyjacielem, mycie się w umywalni czy przebywanie w ustępie — wszystko to działo się na oczach tłumu, na oczach wszystko widzących, wszędzie docierających, wszędzie szpiegujących. Te oczy tłumu stawały się zmorą, przyprawiającą w największej mierze o histerię drutów kolczastych, o ów „Stacheldrahtkrankheit”.

W obozie dopiero można było przekonać się, jak wielką radością dla człowieka może być samotność, jakim błogosławieństwem może być cisza, cisza przeżywana na łące pod ogromnym błękitem, mierzona jednostajnym ciekaniem świerczy, przetykana szklanym bełkotem wody, cisza człowieka wolnego...

I stąd może zrozumiesz, Władko, moje uwielbianie ciszy w Biviers...

W sumie wszystko się składało na rozkładowy proces uczuciowy człowieka w obozie. Te wszystkie przeszkody, hamulce, upokarzania, zabijanie godności ludzkiej, nieustanne widmo śmierci żebraczej — wszystko to nie zdołało wy dobyć z człowieka żadnych sił, ni ich pomnożyć, jeżeli nie posiadał w sobie takiego ich zapasu, który by przerastał tamte siły rozkładowe.

W tym wypadku można by podzielić ludzi na dwie zasadnicze grupy: na tych, którzy byli słabi, i na tych, co przywieźli z sobą ów mniejszy lub większy, zasób sił. I wytwo-

rzyła się dziwna rzecz. Silniejsi jęli ratować słabszych, jakby sztucznymi zastrzykami, podobnie jak to lekarz czyni ze słabnącym sercem ludzkim. Zastrzykami były różne prorocstwa, przepowiednie, jasnowidzenia, wróżby, sny prorocze i „parole”, czyli optymistyczne wieści ze świata.

Parole tworzyli ci, co słuchali potajemnie radia zagranicznego i następnie kolportowali po obozie uzyskane wieści. A więc były to przede wszystkim wiadomości z frontów. Jeżeli wojska niemieckie ponosiły klęski, paroli nie było trzeba poprawiać. Jeżeli zaś zwyciężali Niemcy, to zanim dotarły do ucha załamującego się człowieka, nabierały tyle jasnego przekształcenia, tak się doszczętnie przemieniały, że ich sam autor nie poznawał. Klęski aliantów zamieniały się w klęski niemieckie, cyfry dobierały sobie po drodze kilka zer, Hitler z rozpaczy gryzł dywany na podłodze, strzelał do swoich współpracowników, ryczał i walił łbem o ścianę, Niemcy zaś uciekali „na zbity łeb” i skamlali o pokój.

Parola była cudownym wynalazkiem. Parola była najwspanialszym i najskuteczniejszym środkiem na zanik woli, aczkolwiek działającym na krótką metę.

Powstał u nas specjalny typ t. zw. „parolarzy”, ludzi poniekąd śmiesznych, którzy biegali zawzięcie za najnowszymi wieściami, zaczepiali każdego obmierzłym już nieraz pytaniem: — Co słychać? Co nowego?... a zdobywszy je, pędzili do następnego znajomego, by znowu słuchać tych samych nowin. Wchłaniali je w siebie żarliwie, nienasycenie, lecz nie umieli czy nie chcieli się nimi z nikim podzielić. Gdy zobaczyli grupkę rozmawiających kolegów, podchodzili i słuchali łapczywie. Potem odchodzili w milczeniu, bez pożegnania i znowu szukali szczęścia gdzie indziej.

Owi koledzy nie cieszyli się sympatią.

Drugim rodzajem „parolarzy” byli ci, co wysłuchiwali najnowszych wieści, lecz w te pędy roznosili je po obozie, głosząc je każdemu z przejęciem. Bywali oni o tyle niebezpieczni, że przekształcali je na poczekaniu, dodawali do cyfr zera, zmieniali nieraz sens wiadomości i co najciekawsze, wierzyli mocno w ich prawdziwość.

Wystarczyło, że posłyszeli tylko fragment jakiejś rozmowy, by resztę uzupełnić szczegółami wylęgniętymi w ich fantazji. W rezultacie przez obóz pędziła już niesłychana wieść, że Hitler zastrzelony, że Anglicy bronią się nad Nilem w piramidach, że krokodyle, które jakoby w okresie ruji spływają do delty Nilu, uniemożliwiają przeprawę Niemcom na drugi brzeg, że Sven Hedin, podróżując kiedyś przed woj-

ną przez pustynię Gobi w Azji, był na usługach generalnego sztabu niemieckiego, gdyż szukał dróg dla armii niemieckiej, a przede wszystkim wody dla niej, że Mussolini zginął z ręki swej córki...

Oto w jaki sposób powstała „parola” o śmierci Mussoliniego :

Grupa obozowych polityków omawia ostatnie wydarzenia w Italii w związku ze „zdradą” Badoglio. Ktoś z obecnych wyraża oburzenie, że Mussolini kazał rozstrzelać swego zięcia, ministra Ciano. Wtedy drugi kolega dorzuca, że w myśl tradycji włoskiej z okresu Renesansu, córka powinna pomścić swego męża i Mussoliniego zasztyletować lub otruć. Trzeci kolega dodaje, że ten rodzaj zemsty już dzisiaj nie jest modny, że powinna ojca po prostu zastrzelić, by się stało zadość tradycji średniowiecza.

I jakież było zdumienie owej gromadki, kiedy nazajutrz cały obóz z niczym innym nie mówił, jak o zastrzeleniu Mussoliniego przez jego córkę. I zdarzenie to było podawane z takimi szczegółami, że nikt nie mógł wątpić w jego prawdziwość. A więc ile strzałów oddała w swego ojca tyrana, co powiedziała przy tym, co odpowiedział ojciec (coś w rodzaju Cezarowego : „I ty, Brutusie, przeciwko mnie !...) i co z tego wyniknie. Potem jeszcze wyrosła z tego rewolucja pałacowa w otoczeniu Mussoliniego, córka-mścicielka została mianowana Joanną d'Arc włoską, potem jeszcze dołączyło się do tego cudowne pojawienie się jej Matki Boskiej, zapowiadającej rychły a sromotny koniec Hitlera. Słowem rozeszła się po obozie taka „parola”, że ludzie jęli chodzić jak błędni z oszołomienia i z rosnącej radości. Wieść ta wyszła nawet poza obóz i rozleciała się po Monachium wśród Niemców.

Dopiero później okazało się, że jej rodzicem był jeden z przysłuchujących się rozmowie „parolarzy”, człowiek o nikłej inteligencji, lecz o bogatej fantazji, że źle zrozumiał sens tamtej rozmowy, pewne rzeczy, nieistotne dla niego opuścił, pewne upiększył swoją fantazją i puścił w obieg pod ogromnym sekretem. Może nawet za papierosy, bo i tacy bywali.

— Ale to ci powiadam, nie mów tego nikomu!... — zaklinał swego kolegę, a kolega to samo czynił wobec swego przyjaciela. I teraz tamta niesłychana wieść, obwarowana przysięgami i zapewnieniem dyskrecji, jęła rozrastać się do drugiej potęgi w tempie przyspieszonym.

Po kilku dniach „parola” o śmierci Mussoliniego skończyła

swój piękny żywot, lecz zdołała rozniecić taki ogromny entuzjazm i tyle radości wydobyła z zakamarków ludzkiego serca, a jej rodzicowi w dodatku przyniosła kilkadziesiąt papierosów, że nikt ani jej ani rodzicowi nie złorzeczył.

Ponieważ w ostatnich miesiącach przed klęską Niemiec, cały obóz był tak świetnie informowany o zdarzeniach na dalekim świecie, że nawet „esmani” nadstawiali im chętnie ucha, przeto władze obozowe nareszcie zdołały się domyślić, że wieści te pochodzą z odbiorników radiowych, znajdujących się w licznych biurach miejscowego Gestapo, różnych oddziałów i w biurach władz obozowych. I że radia słuchają sami więźniowie, sprząający w kancelariach. Wobec tego wszystkie odbiorniki radiowe zostały z nich usunięte, a równocześnie wydano zarządzenie, że za rozsiewanie wieści z zagranicznego radia oraz za politykowanie czeka kara śmierci.

Zarządzenie to nic nie wskórało. Tyle tylko, że obecnie wiadomości były kolportowane w sposób bardziej zakonspirowany. Okazało się bowiem, że są między nami koledzy, którzy nadal słuchają radia zagranicznego i którzy w zaufaniu powierzają wiadomości swoim przyjacielom. A ponieważ tamci mieli znowu swoich przyjaciół, więc zasadniczo nic się nie zmieniło.

Władze obozowe poczęły się denerwować.

Zaprowadziły wtedy świetnie zorganizowany system szpiclowania. Funkcję tę powierzyły „Czarnemu”, więźniowi-kryminaliście, który na każdym bloku dobrał sobie pomocników, zakonspirowanych szubrawców, prowokatorów kształconych w rzemiośle szpiegowskim przez niego samego. Ofiarą padło kilku więźniów. Co się z nimi stało, nikt nie wie. Lecz przypuszczać należy, że zostali powieszani obok krematorium. A gdy wreszcie przyszli Amerykanie, oni z kolei zginęli, najpierw zmasakrowani przez więźniów, a następnie rozstrzelani przez żołnierzy amerykańskich.

Lecz zanim zginęli, wyteżali wszystkie siły, by przyłapać kolegów na rozmowach politycznych, a przede wszystkim by wykryć tajne odbiorniki radiowe. I nie wykryli. A tymczasem na świecie działały się już ogromne rzeczy.

Częstokroć przychodził do naszej pracowni kolega-Czech, Karol Marek z Pragi, z zawodu dziennikarz, przynosił z sobą zwiniętą bibułkę i zaczynał :

— A może chcecie wiedzieć, co się wczoraj działo na froncie ? — i nie czekając naszych próśb, rozwijał bibułkę i zaczynał odczytywać autentyczny komunikat radiowy londyński, paryski, moskiewski i polski z Londynu.

— Skąd to macie, Marku? — pytałem nieraz zdumiony.

— To was nic nie obchodzi — mawiał niezmiennie i uśmiechając się, odchodził do swojej pracy.

Dopiero na kilka dni przed przybyciem Amerykanów zdołałem się przypadkowo dowiedzieć, że posiadał radioodbiornik w konewce z wodą, jakiś cudaczny radioodbiornik, zbudowany z rozbitych radioaparatów w strąconych samolotach angielskich i amerykańskich.

Gdzie znajdowały się inne odbiorniki, tego nigdy się nie dowiedziałem. Zresztą nasza osobliwa etyka obozowa wymagała, by nie dociekać tajemnicy, by ją uszanować.

„Parole” i komunikaty radiowe były dla nas na codzień. A tu przecież chodziło o coś więcej. Tu chodziło o bodźce, działające silniej i na dłuższą metę. Pobyt w obozie przedłużał się. Lata upływały, a tu wciąż nie było widoków na ich kres. Ludzie stawali się coraz bardziej zmęczeni. Zasoby sił wyczerpywały się gwałtownie. Przed każdym wynurzała się ponura perspektywa zupełnego załamania się i śmierci. Śmierci odartej zupełnie z jej majestatu, śmierci podłej, żebraczej, śmierci rozdeptanego robaka!..

Ludzie widzieli, że stają się osaczeni ze wszystkich stron. Jak zaszczone zwierzę. Że jeżeli ich nic nie poratuje — zginą.

Lecz cóż ich miało ratować? Rzeczywistość była dla nich zagładą. A więc jedyna ucieczka i ratunek w nawrocie do irracjonalizmu, do metafizyki, do mistycyzmu, do rozpaczliwego szukania Boga i Jego przyczyny we wszystkim, przyczyny uzasadnionej, logicznej, mądrej... Przyczynę tę starano się dopatrzeć w niepisanej literaturze obozowej; w porocztwach, w snach, nawet w seansach spirytystycznych. To była bowiem najłatwiejsza forma zdobycia pewności, forma naiwna i prosta, że jest Ktoś wielki, Ktoś nieogarniony, że jest po prostu Bóg czy Jego Opatrzność.

Pojawiły się więc prorocтва.

Przychodziły do obozu nie wiedzieć skąd i przez kogo stworzone, i prawily w słowach biblijnych o zwycięstwie umęczonego człowieka, o zapanowaniu dobrego nad złem, o utęsknionym wymiarze sprawiedliwości.

A więc były prorocтва rymowane, przypisywane raz Wernyhorze, potem jakiemuś Wielohorskiemu, opowiadające w zawiły i symboliczny sposób, że „kiedy czarny orzeł swój wzrok na wschód obróci, ze złamanym skrzydłem do dom powróci”; były prorocтва różnych świętych średniowiecznych i z pierwszych lat chrześcijaństwa, prawiące o latających

ptakach żelaznych, o deszczu ognistym i o zupełnym zniszczeniu wroga ludzkości ; była Apokalipsa św. Jana ; była Matka Boska z licznymi objawieniami raz tu, potem tam, to pastorzom italskim, to dziewczeczce francuskiej, potem zaś rannemu żołnierzowi polskiemu na froncie ; były zakwitające róże w dzień zimowy i cudowne źródelka, wytryskujące tylko wtedy, kiedy już pisana zagłada złu rozpasanemu ; były jakieś liczby magiczne i dwie pełnie księżycy w jednym miesiącu ; były zawiłe obliczania pomyłonych astrologów obozowych, wykazujące w cyfrach i liniach wpływ krwawiącego Marsa na losy ziemi i na losy Hitlera, wieszczące jego koniec i koniec jego szatańskiego dzieła ; były seanse spirytystyczne z pojawiającymi się duchami, które domagały się zmówienia pacierza za dusze w czyścicu cierpiące ; były ostatnie słowa umierających w obozie, słowa wypowiedane w natchnieniu, przeświecone majestatem śmierci, a prawiące o wyzwoleniu, kiedy jabłonie zakwitną lub kiedy urągłiwy napis na dachu łaźni obozowej zmyją deszcze, albo kiedy ilość więźniów w obozie dosięgnie tej a tej liczby ; były prorocze sny niektórych kolegów, pełne symboliki, z Matką Boską w królewskim płaszczu, z dusznymi gadami przez niemowlę w kołysce, z wyjącymi wilkami, tratowanymi przez ogromnego białego konia ; były w końcu widzenia podczas zatopienia się w modlitwie.

Wszystkie mówiły o zniszczeniu Niemiec, o śmierci Hitlera, o pokoju, a niektóre jeszcze o Polsce od morza do morza. Pojawiały się kolejno i kolejno przepadały niespełnione. Ni wiele z nich zachowało cech prawdopodobieństwa i utrzymało się w swym znaczeniu do końca wojny. Jeżeli zaś minął termin, przewidziany w jakimś proroctwie, a ono się nie spełniało, ludzie nie rozpaczali, bo w tym samym okresie pojawiało się nowe, jeszcze bardziej przekonujące i jeszcze bardziej pewniejsze. Po nim następowało trzęcie, potem czwarte, tak długo, aż nareszcie spełniło się ostatnie, bo Niemcy zostali pokonani.

Zmęczony człowiek w obozie zaczynał żyć od terminu jednego proroctwa do drugiego terminu, a za każdym nabierał nowego jakby oddechu i nowej nadziei.

— Jeszcze tylko do jesieni dotrzeć — mawiano na wiosnę — a zobaczycie, że wszystko się już skończy...

— Dlaczego ?...

— Bo słyszałem proroctwo inne, ale teraz już prawdziwe, które mówi jak najwyraźniej, że wojna skończy się w jesieni !

— Jezusku święty, naprawdę?...

— Jako mówię! Zobaczysz! — i zaczął cytować nowe proroctwo.

Człowiek zaciskał więc pięści, zaciskał zęby, postanawiał przetrwać do jesieni. Liczył na palcach, ile to jeszcze miesięcy dzieli go od tej upragnionej chwili, czy wytrzyma tyle głodowych dni, czy się nie załamie fizycznie. Nie! Nie załamie się! Choćby jasne pioruny biły, ale musi wytrwać!... Tych kilka miesięcy musi wytrwać.

I wytrwał!...

Proroctwo wprawdzie nie spełniło się, lecz pojawiło się nowe, jeszcze piękniejsze i jeszcze prawdziwsze, poparte przysięgami, dokładnymi opisami i takimi szczegółami, które się istotnie zdarzyły, jak bitwa pod Orleanem, jak załamanie się potęgi niemieckiej pod Stalingradem, jak bombardowanie Monachium pociskami zapalającymi, fosforem i „deszczem ognistym”.

Aż wreszcie przyszli Amerykanie!

Jakiż radosny to był ów 29 dzień kwietnia 1945 roku!...

Spełniły się w nim wszystkie proroctwa, jasnowidzenia, przepowiednie i sny wieszczce. Spełniły się co do joty.

Zdumiony człowiek w obozie patrzył teraz na Amerykanów i mawiał:

— Gdyby mi ktoś przed pięciu laty powiedział, że tak długo będę czekał na nich, nie wytrzymałbym! Poszedłbym na druty lub powiesiłbym się w ustępie!... A tak wytrzymałem, dzięki tamtym proroctwom!...

Gdyby mnie ktoś powiedział, Władko, jeszcze w październiku roku 1939, że w obozie mam pozostać do roku 1945 nie wiem, co bym uczynił. I pisząc Ci dzisiaj w tak strasznie długim liście o tamtych proroctwach oraz ich wartości dla człowieka w obozie, zdaję sobie sprawę, że wobec Twojego, tak dobrze mi znanego sceptyzmu, trochę się ośmieszam. Lecz i na to mam wyjaśnienie.

W obozie nastąpiło „przewartościowanie wszelkich wartości”, że użyję tutaj Nietsche’go. Wiele z naszych naukowych dogmatów straciło zupełnie swą wartość. Człowiek patrzył zdumiony, jak jego prawdy stają się kupą gruzów, że gdzieś z głębin duszy i z głębin serca wyłaniają się nowe prawdy i nowe światy, że powstają nowe wartości, że nawet Twój sceptyzm, którym zmuszałaś mnie do rewizji moich naiwnych entuzjazzmów i zachwyków nad odkrytymi przeze mnie prawdami, że nawet ten Twój wspaniały, wyniosły, chłodny

sceptyzm przemienił się w moich oczach, po przejściu tamtego piekła, w załamane, zdruzgotane sklepienie gotyckie...

Na gruzach Twoich i moich dotychczasowych wartości wypada nam teraz, Władko, budować nowe ołtarze !

Najmilsza władko !

W Biviers pozornie nic się nie zmienia.

Wciąż ci sami ludzie koło mnie, wciąż te same rozmowy przy stole, wciąż to jednakowe oczekiwanie czegoś, co ma nadejść, a nie nadchodzi.

Jesieni jeszcze nie ma, nie ma nawet jej zapowiedzi, prócz tych pierwszych purpurowych liści w winnicach, płonących nieśmiało i skąpo w gęstwie zieleni. Tyle tylko może, że słońce dzisiaj już mniej upalne, że Belledonne coraz częściej tonie w chmurach, że błękit stopniowo płowieje, a „polny świerszcz — jak pisze Kochanowski — co głosu wstaje i gwałtownemu słońcu łaje”, już teraz umilkł, a jedynie w nocy nasycza ciszę dygotliwym, metalicznym graniem. Jakby ktoś na fujarce ogromnie szybko chudym palcem przebiegał i wydmuchiwał z niej bez tchu wysoki, drżący ton. Głos jego jest bolesciwy i zawodzący, jak u płaczki nad grobem.

Pamiętam, matka moja zawsze mawiała — kiedym był jeszcze małym chłopcem — że to nie świerszcze tak się skarżą, jak mówią uczone książki, lecz pokutujące dusze za jakieś niewyjawione winy. Że trzeba za nie zmówić pacierz.

Żeromski zaś powiedziałby, że to „cichy szelest godzin niezwyłych”.

I moja matka i Żeromski mają słuszność. Obydwoje bowiem przeżywali czas, mierzony cykaniem świerszcza w głębi nocy, jako wyraz nieujawnionych tęsknot za czymś, czego nie znajdziesz na ziemi.

W Biviers nic się pozornie nie zmienia, a jednak można sercem wyczuwać, że coś zmienia się koło mnie i we mnie. Z niebosięźnego Belledonne schodzi nieuchwytny smutek w dolinie i przesyca myśli i uczucia ludzkie. Ludzi zaś nadochodzi taki sam niepokój, jak przelotne ptaki przed wyrajem. Powiadają do siebie :

— Niezadługo będzie trzeba stąd wyjechać !...

— Ale dokąd ?

— Eh, byle gdzie ! W świat !...

A każdy w tej chwili myśli o kraju i o tych, których już

nigdy nie spotka. I każdy z nich na drobną chwilę zasłucha się w żalobne narzekanie świerszcza, jak w narzekanie płaczki nad grobem.

Noc jest znowu cicha i ciepła, ze wstającym księżycem nad Belledonne. Wychodzę na drogę przez starą, sklepioną bramę renesansową, opiętą bluszczem. Droga w księżycu jest biała i bezludna. Po drugiej stronie czernią się długie rzędy winnych krzewów o ciemnych, lśniących liściach, o ciemniejszych jeszcze kiściach winogron. Miedza prowadzi mnie koło wymarłej — zdawałoby się — kamiennej chałupy górala, podpełnione pod niską jabłonią i zawiedzie mnie na małą łączkę wśród winnic. Trawa jest sucha i ciepła. Gdy się w niej położyć, wyczuwa się życie ziemi, jak ciepły oddech żywego stworzenia. Świerszcze krzyczą w koło mnie, jak pijane. Ich wysoki, drgający głos przenika ciszę do głębi. Robi to wrażenie, że ktoś małym, drobnym, srebrnym młoteczkim wbija w nią srebrne ćwieczki, ogromnie się śpiesząc, bo noc jest krótka. Głos świerszcza odchodzi czasem ode mnie, czasem zamilknie, by po chwili jeszcze namiętej wystrzelić w ciszę ostrym, wibrującym tonem. Czasem przysiąda tuż koło mnie w trawie, gdzieś tak blisko, że możnaby go dłonią nakryć, i przechodzi w senny, usypiający szept o miękkich brzegach.

Mój rudy kotek przyszedł do mnie i słucha świerszczy. W oczach jego czai się niepokój. Podchodzi ostrożnie, stawia wysoko łapki, węszy, a potem położy mi się na piersiach i głowę wtula mi pod brodę. Tu się czuje — widać — bezpieczny, bo zaczyna mruścić grubym basem. Za nim przyjdzie nasz pies-włóczęga, obwącha mi dłoń, obwącha twarz, pomacha ogonem i kładzie się obok mnie, włożywszy głowę między przednie łapy.

Myśli uciszają się. Zdawałoby się, że stąpają koło mnie, jakby na koniuzszkach palców. Z ulgą wyczuwam pod dłonią ciepłe, miękkie, żywe ciało kotka, śpiącego mi na piersiach, z ulgą dotykam mądrej głowy psa obok mnie leżącego. Pies podnosi ją i patrzy w moje oczy. Wzrok jego jest ogromnie ludzki. Pomacha ogonem i znowu kładzie ją na płask między przednie łapy.

Tuż nad moją głową zwisają kiście czarnych winogron. Każdy ich owoc lśni w księżycu chłodną, srebrną kropelką światła. Kropelki skupiły się w drżące, stożkowate grona i czekają w milczeniu ludzkiej dłoni.

Nade mną spiętrzył się srebrny błękit, a w błękitcie niezgłębiony bezniały gwiazd.

Kiedy się w nie wpatrzeć, rodzi się zuchwałę pragnienie

zrozumienia nieskończoności. Spojrzenie wyleci między gwałdy, za spojrzeniem pomknie myśl, a po chwili wracają do mnie pełne pokory i lęku.

Świerszcze cykają coraz sennie, kotek mruczy wciąż grubym, słumionym basem, pies co raz popatrzy mi w oczy i znowu zasypia, a uciszone myśli przynoszą z sobą wspomnienie książki w obozie. Pozostał z niej cytat z Imanuela Kanta :

„Zwei Dinge erfüllen das Gemüt mit immer neuer und zunehmender Bewunderung und Ehrfurcht, je öfter und anhaltender sich das Nachdenken damit beschäftigt : — der bestirnte Himmel über mir und das moralische Gesetz in mir ; denn sie beweisen mir, dass ein Gott über mir und ein Gott in mir ist.“

Popatrz, Władko, przecież to takie proste i takie przekonujące, a ludzie w obozie nie wiedzieli o tym. A raczej nie mogli wiedzieć, bo — jak już w jednym z poprzednich listów wspomniałem — tam wszystko było zaprzeczeniem Boga.

Ileż kroć razy szukali ścieżki do Niego, ileż kroć razy Jego samego szukali, pełni przerażenia na widok tyłu zbrodni, i pełni lęku, takiego zwierzęcego lęku o swoje życie ! Podchodzili do mnie, podobnie jak inni podchodzili do innych, szarpali mnie za ramię i po prostu skamlali o odpowiedź, jak głodny człowiek skamle o kawałek chleba :

— Ty, powiedz !... Jest Bóg, czy nie ma Boga ?...

Wtedy ja sam nie wiedziałem, czy jest Bóg. Wiedziałem tylko tyle, że „człowiek zamordował Boga i teraz, podobny do stepowego wilka, krąży koło Jego mogiły i wyje z rozpacz w ciemną noc”, jak to określił Nietzsche.

Któż zdoła wyrazić to rozpaczliwe szamotanie się człowieka, pragnącego zrozumieć ostatnią zagadkę Bytu ? Któż zdoła wyrazić ten jego straszny krzyk o Boga, krzyk człowieka zepchniętego na samo dno piekła, krzyk bezsilny, okrwawiony, zdławiony charczeniem w agonii, szepcany ostatnim tchnieniem, krzyk zastygły w pokurczonych palcach, w wysadzonych oczach z orbit, w rozwartych ustach lub w tym powolnym konaniu we własnym gnoju ?...

Może Job w swych psalmach, kiedy złorzeczy : „Przeklęty niech będzie dzień, któremu się urodził ! I noc, w którą rzeźcono : począł się mężczyzna ! Przeczłem w żywocie matki nie umarł, albo, gdy z jej żywota wyszedł, czemu nie zginął ?”

To był pierwszy odruch ludzi w obozie, odruch buntu i rozpacz. Potem przyszło nie pogodzenie się z rzeczywisto-

ścią, lecz jakby wyczerpanie. A po wyczerpaniu szukanie drogi do Boga, szukanie żmudne, uparte i wytrwałe. Schodzili się przeto, tworzyli gromadki namiętnych „poszukiwaczy Boga” — jak się sami nazywali, prowadzili dyskusje, rozważali pospólnie zagadnienia dogmatów i prawd wiary, zastanawiali się głęboko, szperali po książkach i radowali się jak dzieci, kiedy udawało się jednemu i drugiemu rozwikłać trapiące ich zagadnienie. Inni zaś odgrzebywali w wspomnieniach dawne modlitwy, jeśli je odmawiać stale chociaż w ukryciu, tworzyli nawet własne modlitwy i przypisywali im znaczenie niewykłe. Wierzyli bowiem, że stanowią one dla nich jakby zaklęcia magiczne, że jeżeli ich dzisiaj rano nie odmówią, czeka ich z pewnością głód, bicie, krzywda jakaś, a może i śmierć. A jeszcze inni wyszukali sobie postacie z pośród świętych, i jeśli szerzyć osobliwy kult świętego Józefa, Matki Boskiej, świętej Tereski od Dzieciątka Jezus, czy zgoła swego Patrona.

Mnożyła się religijność w obozie, odmienna od religijności ludzi na wolności, religijność głęboka, czasem prosta i naiwna, często zdobyta i utwierdzona długim rozumowaniem i mozołnym dociekaniem praw Boskich.

Zjawisku temu sprzyjała obecność księży polskich w obozie. Wprawdzie było wielu między nimi, których autorytet kapłański gwałtownie zmalał lub całkiem zanikł, którzy okazali się ogromną biedotą umysłową i moralną, kalekami religijnymi, którzy nadawali się raczej na znachorów murzyńskich, aniżeli na księży. Lecz wśród nich było wielu takich, którzy byli godnymi przedstawicielami Kościoła. Począwszy od takiego popularnego wśród nas księdza Franciszka, jezuita czeskiego, który celował w kapitalnych skrótach rozumowych i w używaniu języka pojęć obozowych w roztrząsaniu zawitych zagadnień religijnych, — a skończywszy na niemieckim jezuitcie, astronomie i doktorze praw, a który przedstawiał swoją postacią i swoim postępowaniem wtórne wcielenie św. Franciszka z Asyżu.

Człowiek w obozie jął się spowiadać i przyjmować Komunię świętą. Najpierw ukradkiem, gdyż władze obozowe za to karały. Potem jawnie, gdy władze jęły na to patrzeć przez palce. W okresie zakazu spowiadano się przed księdzem podczas przechadzki na ulicy obozowej, podczas pracy, gdzieś w zakamarkach, za łózkami w sypialni, a nawet w ustępie!... Chodziło bowiem o to, by nie spostrzegł tego Kapo, izbowy, blokowy lub „esman”, gdyż w takim razie narażali się — jak już wspominałem — na wybuch nowego bestial-

stwa z ich strony. Wszak mój przyjaciel, pastor Wantuła, kilka tygodni przeleżał w rewirze, skatowany nieludzko za to, że wypowiadał umierającego kolegę.

Ten niezwykle renesans religijny w obozie sprawił, że człowiek już teraz mniej upadał na duchu, że patrzył z wiarą w nadchodzące zdarzenia, że zdobywał się na bohaterstwo. Jakże bowiem tłumaczyć postępowanie tego młodego chłopca, Polaka z Górnego Śląska, aresztowanego przez Gestapo na uniwersytecie w Insbrucku pod zarzutem udziału w jakiejś podziemnej akcji sabotażowej? Został przywieziony do obozu w Dachau, skatowany i wygłodzony, z tym, że będzie powieszony. Wiedział o tym i kilka razy rozmawiał ze mną o czekającej go śmierci. Rozmawiał z takim spokojem, że zacząłem go podejrzewać o jakiś osobliwy objaw objędu. W dzień przed swoją śmiercią przyszedł się ze mną pożegnać.

— Jutro będę powieszony więc przychodzę się z panem pożegnać.. — zaczął spokojnie. Jakby mi komunikował że jutro pójdzie do nowej pracy.

— Eh, co pan plecie! — usiłowałem zbagatelizować jego słowa.

— Tak, idę.. Wiem o tym, bo mi powiedział znajomy, co pracuje w politycznym oddziale. Więc przychodzę się z panem pożegnać. U spowiedzi już byłem...

— I to pan tak spokojnie...

Uśmiechnął się, podał mi dłoń i tyle tylko rzekł:

— Do widzenia! I dziękuję panu za wszystko. A proszę mi pozdrowić mój Śląsk!...

I poszedł.

Wieczorem tego samego dnia zabrano go do bunkra, a nazajutrz wczesnym rankiem wyprowadzono z innymi i powieszono koło krematorium.

— Cóż to jest śmierć? — tłumaczył mi na kilka dni przed egzekucją. — Śmierć jest tak ogromnie prosta. Dla mnie jest ona tym samym, co przejście przez próg z jednego pokoju do drugiego. Na progu trochę się zawaham, bo nie wiem, co zastanę w drugim pokoju. Lecz wierzę, że coś stokroć radośniejszego, czego w słowach trudno wypowiedzieć.

Słuchałem go wtedy, jak człowieka nienormalnego. Bo nie wierzyłem, że on istotnie na śmierć skazany. I dopiero wtedy go zrozumiałem i ukorzyłem się przed jego bohaterstwem, kiedy pisarz z jego bloku przyniósł mi wiadomość, że dzisiaj rano został powieszony.

Lub taki Ojciec Kolbe w Oświęcimiu!

Aresztowany w Warszawie przyjeżdża do obozu w Oświę-

cimiu w dniu 28 maja 1941 r. Zostaje przydzielony do karnej kompanii „Esmani” i Kapo specjalnie jego katują i usiłują go „wykończyć” w jak najkrótszym czasie. Ojciec Kolbe staje się cieniem człowieka, lecz wciąż jeszcze mocny, podtrzymuje na duchu swoich współtowarzyszy. Słucha potajemnie spowiedzi i szerzy kult Matki Najśw. Niepokalanej. Przechodzi zapalenie płuc, gdzie go ratują polscy pielęgniarze. Dostaje się na blok inwalidów. ,

Z obozu uciekł więzień. Komendant obozu ogłasza na wieczornym apelu, że cały obóz będzie stał przez noc na placu apelowym. Za karę, iż jeden z nich uciekł. Wszyscy stoją, rano schodzą do pracy, lecz blok inwalidzki stoi nadal przez cały dzień aż do wieczora. Na placu leży już sterta zwłok. To pomarli z wycieńczenia, dobici przez „esmanów”. Po wieczornym apelu podchodzi komendant i wybiera dziesięciu więźniów na chybił trafił. Każdy wiedział, że tych dziesięciu będzie skazanych na śmierć głodową w podziemnym bunkrze za to, że zbiegłego więźnia jeszcze nie ujęto. Między innymi padł los na więźnia Polaka, stojącego obok Ojca Kolbego. Skazaniec wyraża żal, że musi zginąć, gdy w domu czeka go żona i troje dzieci. Ojciec Kolbe wychodzi wtedy z szeregu, staje przed komendantem i prosi go, żeby mu pozwolił zastąpić swego sąsiada.

— Chcę pójść na śmierć za owego ojca rodziny. Proszę przyjąć ofiarę mojego życia! — mówi do komendanta Fritscha.

— Zawód? — pyta zaskoczony komendant.

— Ksiądz katolicki — pada spokojna odpowiedź.

Komendant zgodził się. Jego sąsiadowi każe wrócić do szeregu, jego zaś z innymi dziewięciu ofiarami zaprowadzono do bunkra. Pozamykano ich po trzech, czterech, w jednej celi bez okien. Wszyscy skonali powolną śmiercią głodową. Śmierć ich zatajono. Dopiero po trzech blisko tygodniach, dnia 14 sierpnia przychodzi na blok oficjalna wiadomość o jego skonie.

Człowiek w obozie stawał się mistykiem.

Nie ujawniał swych uczuć czy przeżyć duchowych, bo jakoś nie licowały z brutalnym realizmem życia obozowego. Lecz pielęgnował je w sobie, w ukryciu, krył zazdrośnie w obawie, że życie może mu je zbrukać. Nie zdradzał się nawet z nimi przed swym przyjacielem. Bo i najserdeczniejszy przyjaciel mógłby ich nie zrozumieć i w chwili słabości gotów z nich zadworować rubasznie.

Człowiek w obozie wierzył w cud.

Zdarzały się bowiem u niego takie dziwne zbiegi okoliczności, takie zastanawiające zdarzenia losu, że najbardziej sceptyczny umysł stawał wobec nich, jak wobec nierozwiązalnej zagadki. Tutaj kończyły się już wszelkie rozumowania. Trzeba było bezradnie rozłożyć dłonie i odejść w zamyśleniu.

Lecz i w tym wypadku nie zdradzano się ze swych doznań. Bo i tutaj obawiano się, że ktoś powie :

— Głupiś bracie! Żadnego cudu w tym nie ma !

Każdy zdawał sobie sprawę, że ta dziwna wiara jego podobna jest do ogromnie delikatnej roślinki, że najmniejszy podmuch chłodnego wiatru potrafi ją bezpowrotnie zniszczyć.

Aż dopiero w dniu 29 kwietnia 1945 roku zaczęli wszyscy mówić o cudzie. Nawet najbardziej chłodni sceptycy.

W tym dniu bowiem, w niedzielę, cały obóz miał się udać — jak zwykle — o godzinie 9 wieczorem na spoczynek. W nocy miała go otoczyć dywizja „SS-Wiking” i zlikwidować karabinami maszynowymi i miotaczami ognia. Wszystko to wyszło na jaw przy przesłuchiowaniu ujętego Raportführera Bötchera przed komisją amerykańską. A tymczasem o godzinie wpół do szóstej, a więc na cztery godziny przed zamierzoną likwidacją pojawia się u bram obozu zupełnie przypadkowo patrol amerykański, złożony z 13 żołnierzy. I co się okazało? Według amerykańskiego planu operacyjnego zajęcie obozu miało nastąpić nazajutrz, w poniedziałek do południa. Tymczasem patrol ów, który się wysunął i dotarł na stację kolejową w Dachau, zastał tam 48 wagonów, wypełnionych trupami więźniów. Był to transport z innych obozów, a który „esmani” wymordowali po drodze i dostawili na stację w Dachau. Widok ów do tego stopnia przejął żołnierzy amerykańskich, że ich dowódca, młody oficer, na własną rękę, wbrew otrzymanemu poleceniu, udał się w kierunku obozu. Nie napotkał na opór, bo dywizja „Wiking” była się w poprzednią noc wycofała w kierunku Monachium, pragnąc swą nieobecnością uspić czujność obozu. Po prostu obawiano się buntu 32 tysięcy więźniów. Pozostała tylko nieliczna załoga na wieżach strażniczych. Ta poddała się z miejsca i z miejsca została rozstrzelana przez żołnierzy amerykańskich.

Obóz zajęło więc trzynastu żołnierzy amerykańskich !

32 tysięcy ludzi za drutami oszalało z radości. Krzyczeli, tłoczyli się u bramy, wyciągali dłonie do żołnierzy amerykańskich, spoconych, dyszących z utrudzenia, szarych od pyłu, patrzących spokojnie spod ponurych hełmów, żujących flegmatycznie gumę. Ludzie nieznani rzucali się sobie na szyję, ściskali się, całowali i płakali... A tamci wciąż patrzyli

spokojnie, bełkotali coś do siebie, uśmiechali nieznacznie, tylko ich ponure, zbójeckie oczy gorzały nietajoną radością i nietajoną dumą...

A kiedy w końcu naszym udało się przedostać przez ciężką kutą bramę i dopaść do oficera, dziękując mu zdławionym głosem za ocalenie, ten przestał żuć gumę, uśmiechnął się i rzekł :

— Nie mnie dziękujcie, lecz dziękujcie Bogu za ocalenie !... — poczem zdjął hełm ze spoczonej czupryny i głośno odmówił „Ojczenasz” !... W łamanej niemczyźnie, żeby wszyscy więźniowie zrozumieli, iż to „Ojczenasz”.

Tak, Władko ! To był wyraźny cud !

Potwierdził to ten sam żołnierz, zaprawiony w walkach, ten sam, który bezpośrednio po zmówieniu „Ojczenasz” wydał spokojnym, opanowanym głosem rozkaz, żeby wszystkich „esmanów” wziętych z wartowniczych wież do niewoli, rozstrzelać !... Jako kara za tamtych 48 wagonów trupów na stacji w Dachau. I za ten olbrzymi stos pod krematorium, składający się z 2.500 nagich trupów z naszego obozu.

Kiedy o tym wszystkim myślałem, leżąc ze swym kotkiem i psem na trawie, wpatrzony w beżmiar gwiazd nad sobą, zastanowiłem się bezwiednie nad powiedzeniem Kanta, że „dwie rzeczy napełniają nas wciąż nowym i wciąż wzrastającym podziwem i zdumieniem : rozgwiażdżone niebo nade mną i moralne prawo we mnie : gdyż one dowodzą, że Bóg jest nade mną i Bóg jest we mnie”.

I wtedy przybłąkało się do mnie nieśmiało wspomnienie fragmentu z liturgicznego hymnu w Wielką Sobotę: „O beata felix culpa, que talem dedisti nobis Salvatore !...”

I cóż pomyślisz, Władko, o tym : „O beata felix culpa” ?...

Najdroższa Władko !

Piszę do Ciebie ostatni list z Biviers.

Zżyłem się z nim, z jego milczącymi, kamiennymi chałupami i z winnicami, wśród których — zdawałoby się — samotny księżyc po nocach chadzał i drżące liście powlekał srebrną polewą i słuchał zapamiętałego krzyku świerszczy w trawie. Zżyłem się i oswoilem z czubami Alp, które już teraz nie wspierają nieba, lecz toną w białych nawisach chmur. A przede wszystkim zżyłem się bardzo z moim kotkiem, podobnym do rozbrykanego ulicznika nie tylko ze

swoich figli, lecz i ze swojej fizjonomii. Morwa przed moim oknem stała się dzisiaj podobna do smętnej wdowy, głęboko zamysłonej.

Ludzi wcale mi nie żal. Z bardzo małymi wyjątkami. Przeżyłem z nimi dwa miesiące i żegnám ich bez żalu. Ich dulszczyzna była zdolna obrzydzić życie. Wszyscy wyszli z obozów i wszyscy wynieśli z nich jakiś skrzywiony kręgosłup, jakiś wykoszlawiony sposób myślenia i czucia. Tak mi się przynajmniej wydaje. I ja muszę być do nich podobny, bo patrzą na mnie krzywo i jakby z niechęcią. I prawdopodobnie mówią to samo o mnie, co jak o nich mówię.

W swych listach użyłem po pierwszy raz określenia „dulszczyzna”. Słyszałem je wczoraj podczas odczytu młodego księdza o nerwowej giestykulacji, który przyjechał do nas pod wieczór, wygłosił odczyt o mistycyzmie dnia codziennego i dzisiaj rano wyjechał. Jego stosunek do mnie był zabawny. Wpadł do pokoju, przedstawił się — jak zazwyczaj — niezrozumiale, wyciągnął mnie na przechadzkę i z miejsca zaczął mówić o Bogu.

— Pan miał odczyt w Aix-les-Bains, prawda? To znaczy, czy ja wiem, pan czytał fragment swojej pracy literackiej. Prawda? I pan czytał, że ludzie pana pytali się w obozie, czy jest Bóg, czy nie ma Boga. A pan powiedział im, że pan nie wie, czy jest Bóg. Prawda?... Czy to było tylko takie, czy ja wiem, literackie powiedzenie, czy też istotnie pan nie wie, czy jest Bóg?... Bo chyba pan, jako katolicki pisarz, lub za takiego uchodzący, czy ja wiem...

Przerwałem mu i z miejsca wyjaśniłem istotę rzeczy. Zasympał mnie potem chaotycznymi pytaniami, dopytywał się o stosunki w obozie, o przemiany moralne i psychiczne u człowieka w obozie, o jego nastawienie społeczne i o jego urazy klasowe, a doszedłszy ze mną do domu, przestałem dla niego istnieć. Tak samo podczas odczytu i tak samo dzisiaj.

Kiedy piszę ten list i myślę o nim, wywołuje u mnie wrażenie pająka, który szybkimi, nerwowymi ruchami omotał pajęczyną muchę, wyssał i nasycony odpadł od niej, nie troszcząc się więcej o swą ofiarę. Zwłaszcza, że jego misja, zmierzająca do przekonania mnie że jest Bóg — jak to dopiero dzisiaj zdołałem sobie uświadomić — okazała się zbyteczna. Albo że nie była warta wysiłku. Oraz, że zdobył ode mnie te wiadomości, które mu były potrzebne do jakichś studiów.

Zyskałem tylko tyle z jego pobytu u nas, że przypomniał mi zapomniane już określenie „dulszczyzna”, oraz że modlących się ludzi ciekawie posegregował. Twierdził, że najczę-

ściej ludzie modlą się w kościele jako żebrzące dziady, lub jako tchórze, lub też jako faryzeusze lub zgoła jako gaduły. A że piąty rodzaj modlących się, dla których modlitwa jest uwielbieniem Boga, jest bardzo rzadki. Że w ten sposób modlił się na przykład święty Franciszek z Asyżu, a którego „Hymn o bracie słońcu” jest najwyższą formą uwielbienia Boga.

Dobrze, że pojechał.

Dobrze, że i ja wyjadę. Żal mi tylko mojego żółtego kota. Chodzi trochę osowiały koło mnie, a kiedy go pogłaskam, nasroży się i miauknie. Widocznie jeszcze go boli któreś przetrażone żeberko od tamtej chwili, kiedy duża, jasna blondynka o twarzy różowego anioła zdenerwowała się przy stole, gdy głośnym miaukaniem domagał się coś do zjedzenia. Oto porwała go za skórę na grzbiecie, zatoczyła nim koło w powietrzu i cisnęła o ścianę. Potem roześmiała się jak anioł i poprawiła jasno-złociste włosy na głowie. Od tej chwili mój kotek chadza osowiały i patrzy nieufnie na ludzi.

Ten drobny a poniekąd śmieszny szczegół utwierdza mnie w przekonaniu, że my wszyscy wynieśliśmy z obozu jakiś skrzywiony kręgosłup, jakiś wykoszlawiony sposób myślenia i czucia. W nas jest coś rozklekotanego. Jakieś kółeczka nie zazębiają się dokładnie i coś w nas kuleje. Ale co? Trudno mi na to odpowiedzieć.

Lepiej o tym nie myśleć.

Trafnie to określił jeden z moich młodych przyjaciół w obozie. Powiedział przed naszym rozstaniem się, że podobni jesteśmy do ludzi, którzy wypadli z pociągu na zakręcie, połamali sobie nogi i teraz usiłują go dopędzić na szczytach.

Patrzę na ludzi koło mnie, patrzę na siebie i u każdego dostrzegam te próżne usiłowania, by „odbiegający pociąg dopędzić na szczytach”. I widzę u każdego przeświadczenie, iż wysiłek jest bezcelowy. Przeto u każdego można dostrzec nieokreślony żal czy smutek, maskowany niezręcznie czymś ogromnie banalnym. Jakimś nieszczerym uśmiechem, pozą, jałowym dowcipem, lub chociażby wykoszlawioną brawurą, jaką popisała się tamta jasnowłosa dziewczyna o twarzy znudzonego anioła, kiedy dla zyskania podziwu ujęła kota za skórę na grzbiecie, zatoczyła nim koło i cisnęła o ścianę. A potem uśmiechnęła się wdzięcznie, poprawiła jasne włosy nad czołem i usiadła zadowolona, podciągając przykrótką sukienkę na odsłonięte kolana. Jakoby dla zaakcentowania swej dziewczęcej skromności.

Ludzie czują pustkę w sobie, czują pustkę koło siebie. Do-

znają wrażenia, że zawiśli w próżni. Pustkę wypełniają marzeniami.

I te marzenia, to nawyk z obozu.

W okresie największego głodu każdy marzył o jedzeniu. Fantazja była do tego stopnia pobudliwa i bogata, że każdy widział się przed stołem, zastawionym najbardziej wyszukаныmi potrawami. Ludzie potrafili godzinami wieść rozmowy, spierać się i przekonywać wzajemnie, która potrawa jest smaczniejsza, jak ją należy przyrządzać, jak ją nawet należy spożywać, by jej smak przeżywać jako najwyższą rozkosz.

Obok mnie w kartoflarni siedział młody chłopiec, z zawodu złodziej kieszonkowy. Przez dłuższy czas był moim najlepszym przyjacielem. Tak długo, aż wyjechał w końcu z transportem. Obieraliśmy kartofle i obierali w ciągu długich godzin, a podczas tej pracy rozmawialiśmy o sztuce kradzieży pieniędzy w natłoku, albo o tym, co będziemy jedli, gdy wrócimy na wolność. Zapewniał mnie, że na moje przyjęcie upiecze placek. Będzie się składał z najbielszej mąki, z cukru, maku, czekolady, miodu, tartych migdałów i orzechów, z masła i wanili, ze wszystkiego po trochu, upiecze w rurze i poda na stół.

— Ale se pojemy jak cholera !... — przekonywał mnie uparcie. — A za każdym kawalkiem takiego placaka gołniemy po kieliszku... — Która wódka lub likier jest najlepszy ? — zapytał niespokojnie.

— Benedyktyńka lub żubrówka.

— Popijemy więc benedyktynką. A palić będziemy „Prezydent” ;... Cholera, co ?... A następnie pana zaprowadzę tam, gdzie będziemy mogli znaleźć grubego portfel !... Zgoda, ni ?...

— Zgoda !...

Potem szybko, ukradkiem roztarł kilka kartofli na miazgę, włożył do brudnej szmatki, wykręcił i rozłożył na rurze pod sufitem. Rura była mocno rozgrzana, bo przechodziła nią para. Po godzinie zdejmował rozparzony placek i dzielił się ze mną po przyjacielsku. Raz tylko wisiał za to przez godzinę na słupku, lecz to jeszcze bardziej pogłębiło naszą przyjaźń.

Pod niebem latały samoloty. Najpierw niemieckie, a potem coraz częściej angielskie lub amerykańskie. Patrzyliśmy na nie, jak Słowacki chyba patrzył, kiedy był „sto mil od brzegu i sto mil do brzegu i widział lotne w powietrzu bociany długim szeregim”, a było mu wtedy ogromnie smutno.

— Pomyśl sobie — mawiał wtedy do mnie inny mój przy-

jaciel, na wpół ślepy Grek — pomyśl sobie, taki samolot !..

Przez chwilę patrzył za szybującym samolotem pod błękitem, mruzczał coś do siebie w swoim języku, a potem znowu przechodził do łamanej niemieczyny :

— Widzisz ten samolot ?

— Widzę !

— U nas orły tak latały pod niebem.

— Gdzie u was ?

— W Grecji !.. Ho, ho, to piękny kraj !.. Widzisz, co by to było, gdyby taki samolot wylądował oto na naszej ulicy obozowej ? Leci, leci, i łęc ! Już jest na ziemi. A z samolotu wyskoczy Amerykanin lub Anglik i powie, żeby wsiadać, ale prędko, bo już „esmany” biegną z karabinami maszynowymi. Ja wsiadam a samolot zerwie się i leci pod niebo... Ale powiedz mi, czy nie zawadziłyby skrzydłami o wartowniczą wieżę ? Ile metrów potrzebuje, by wzbić się w powietrze ?

— Nie wiem... Ale chyba nie dużo !..

— Ja też tak myślę. A potem lecimy nad Niemcami, nad Francją, nad morzem i lądujemy w Londynie. A w Londynie... to jest takie okropnie wielkie miasto, wiesz ?..

— Wiem.

— To dobrze ! A w tym Londynie zlecą się ludzie i obsypią mnie kwiatami, a potem posadzą do samochodu i zawiozą przed króla...

— Przed króla ?

— Jako prawiem! Przed króla!.. A król poklepie mnie po ramieniu i powie ministrowi, żeby mnie zawieźli do sanatorium..

— Dlaczego do sanatorium ?

— A, bo ja mam gruźlicę... A tam mnie położą na miękkim łóżku... Chyba Anglicy nie mają wszy ? Jak myślisz ?

— Skądże by ?

— Ja też tak myślę. A przyjdzie taka dziewczyna z Czerwonego Krzyża i przyniesie mi do łóżka czekolady i bułkę z masłem, i powie, żebym se pojadł, bo już nie jestem w obozie, lecz na wolności. A król odwiedzałyby mnie codziennie. A do matki też bym napisał. Nie wiem, czy jeszcze żyje, bo miała już 87 lat, kiedy mnie aresztowali Niemcy... A matka by przyjechała i miałaby się ogromnie dobrze, bo ja byłbym już wolnym człowiekiem i ona też. O jej, żeby taki samolot tu kiedy wylądował ?.. Jeno, czy potrafiłby wylecieć z ulicy obozowej ? Choroba, żeby ta wieża stała trochę dalej, lub gdzieś z boku !.. Bo jeżeli by się samolot nadział na ową wieżę, to wszystko by diabli wzięli. No nie ?

Ktoś inny pragnął posiadać taką moc w swych oczach, która by z miejsca ubezwładniała „esmana”. Oto wystarczyłoby na niego spojrzeć, a „esman” leży trupem. Wystarczyłoby spojrzeć na jego rękę, wzniesioną do uderzenia, a ręka schnie w tym okamgnieniu i zamienia się w suchy badył w rękawie. A jeszcze ktoś inny marzył o jakiejś czapce-niewidce. Nałożyłby ją sobie na głowę i teraz mściłby się za wszystko. Kopałby „esmanów”, pluł w twarz, jak to oni czynili, bił, nożem podrywał gardło, paproszył, a przede wszystkim pragnąłby się przechadzać między nimi. Oto gdy tak stoją w szeregu i słuchają swego komendanta. Szedłby więc spokojnie od jednego ku drugiemu, temu dałby prztyka w nos, tamtego kopnąłby kolanem w podbrzusze, innego żgnąłby nożem w brzuch, a jeszcze innemu oblałby swym moczem spodnie...

A wiecie, co ja bym zrobił? — wtrącał się stale do rozmowy trochę pomyłony kolega, lecz umiejący najtrudniejsze zadania rachunkowe rozwiązywać z pamięci.

— Ty nic byś nie zrobił! — odpowiadano mu. — Ty się boisz nawet zdechłej żaby!...

— Hale!... Oto ja bym takiego esmana związał, mocno powrozem, ściągnął z niego portki, nasmarował mu tyłek miodem i posadziłbym go do mrowiska. I poszedłbym ku dziełwusze na noc. A na drugi dzień zastałbym w mrowisku jeno te kosteczki „esmańskie” do czysta ogryzione. A on by długo żył, bo mrówki zaczęły by go ogryzać najpierw od tyłka. To by ryczał, jak zarzynany byk!... A długo by ryczał bo zanim mrówki dogryzłyby się do jego serca, to by długo czekał!... Psiakrew, cholera!...

Potem przyszli Amerykanie.

Ludzie najpierw głośno wierzyli w cud, i szaleli przez kilka dni, pijani odzyskaną wolnością, potem przynosili odbiorniki radiowe z „esmańskich” mieszkań i słuchali. Od wczesnego rana do późnej nocy. A z głośników krzyczał cały świat o końcu wojny, o zniszczeniu Niemiec, o zwycięstwie sprawiedliwości.

— ...deposuit potentes de sede, et exaltavit humiles!... — śpiewali księża w obozie, przystawając przed olbrzymim krzyżem drewnianym, postawionym teraz na środku obozu. Przypominał on zupełnie krzyż, stojący na arenie Colloseum w Rzymie.

— ... a krew naszą długo lały katy! — powtarzali inni, patrzący na szumiące sztandary koalicyjne, zawieszane wysoko na maszcie na placu apelowym.

Koło obozu paliły się olbrzymie zwały szmat, zawsoniej bielizny, zdartych ubrań, odpadków obozowych i śmiecia. Tumany krztuszącego dymu zaciemniały słońce. W nocy, kiedy już wszyscy spali, ogniska te gorzały w mroku krwistym blaskiem. Na tle ognisk przesuwały się sylwetki żołnierzy amerykańskich. Sunęli krokiem lekkim, rzekłabyś — tanecznym, kocim jakimś, w ciężkich, ponurych hełmach, z karabinami na ramieniu. Wiało od nich grozą i krwią. Tak chyba wyglądał Ares w pierwszym pomysle u artysty-rzeźbiarza pod Akropołem. Żołnierz jeden i drugi przesunął się jak widmo na tle okrwawionych płomieni, przystanął, zawrócił i znowu sunął kocim, tanecznym ruchem, by utonąć w nocy. Ludzie patrzyli przez okna, ze swych zawsonych barłogów, nabierali tamtego widoku w oczy, zamykali go w sobie powiekami i zasypiali, ucziszani radosnym przeświadczeniem :

— ...w tamtym ogniu dopala się nasza krzywda ;

Potem ujęto Rapportführera Bötchera i przyprowadzono do obozu.

Żołnierze amerykańscy ubrali go w pasiaste ubranie więźnia, i skrwawionego wyprowadzili na główną wieżę wartowniczą.

Tłum oszalał po drugi raz. To już nie było szaleństwo radości, lecz szaleństwo bestii, głodnej krwi.

Rapportführer Bötcher stał na balkonie wieży, z rozwieszoną czupryną, z przerażeniem w oczach, bez protestu podnosił i trzymał długo prawe ramię w górę, w hitlerowskiy sposób, w zdrowieniu, skopany, spluty, pobity, ukrwawiony, podobny już teraz nie do człowieka nadętego zuchwałą pychą i butą, lecz jednego z tych tysięcy więźniów, nad którymi znęcał się przez pięć lat przeszło. Trzymał wyprostowane ramię w górę i powtarzał co mu tamci kazali wołać :

— Heil Hitler !... Zamordowałem tysiące więźniów w obozie, zastrzeliłem własnoręcznie tylu a tylu oficerów sowieckich, zabiłem strzałem w potylicę tylu a tylu mężczyzn, tyle a tyle kobiet i dzieci ! Gwałciłem każdą kobietę przed zastrzeleniem, spaliłem żywcem tylu a tylu lotników amerykańskich, zestrzelonych podczas nalotu na Monachium !... Heil Hitler !... Jestem jednym z największych zbrodniarzy świata !... Heil Hitler !...

Ogromny tłum pod wieżą dopychał się, kłębił wzburzony, wołał o jego głowę, ryczał, w oczach jego, opętanych pragnieniem zemsty, w oczach szeroko rozwartych gorzał potworny płomień nienawiści.

— My chcemy Bötchera !... Dawać nam Bötchera !... —

krzyczał już ochrypnięty, a Bötcher, ten dumny, wyniosły, pogardliwy Bötcher kulił się teraz na wieży i patrzył z takim strasznym lękiem na oszalały tłum pod sobą, że budził już raczej współczucie, aniżeli nienawiść. Mimo tego, iż się wiedziało o jego zbrodniach. Że oficerów sowieckich rozbrajał do naga i strzelał z nieukrywanym zadowoleniem, mierząc w potylicę. Że tak samo strzelał więźniów i linna miejsce egzekucji. Że znajdujące się wśród nich kobiety rozbrajał również do naga i gwałcił przed śmiercią. Że je następnie w ten sposób strzelał, iż oddany strzał w potylicę nie zabijał ich od razu. Kiedy rzeziły na ziemi w agonii, kopał je butem po piersiach i wygłaszał plugawe uwagi, uwłaczające czci kobiecej. Wiedzano również i o tym, że ostatnią jego zbrodnią było zastrzelenie siedmiu mężczyzn i czterech młodych kobiet. A kiedy się napastwił dowóli nad ich drgającymi zwłokami, polecił je ułożyć rzędem na wznak, a na każdą położyć zastrzelonego mężczyznę, twarzą w twarz. I znów się radował powtarzając z szatańskim grymasem zadowolenia, iż teraz mogą się miłować do woli !... Poza tym wiedzano także o tym, że i on brał udział w podziale wyprawionej skóry z więźniów !...

Nie możesz, Władko, zrozumieć, co to była owa wyprawiona skóra z więźniów ? Opowiem. Każdy tak zwany „Zugang” czyli nowy więzień, przybywający do obozu, przechodził przed lekarzem „esmańskim”. Wszyscy maszerowali przed nim nago, gęsiego. Jeżeli lekarz zauważył, że ktoś z nich posiada wytatowaną skórę na piersiach, a tatuaż — według jego zdania — wart był zachodu, kazał zapisać numer jego i nazwisko. Po kilku dniach zanotowany bywał wzywany na rewir, gdzie otrzymywał zastrzyk. Za godzinę w sali operacyjnej leżał jego zwłok z wyciętą i zdartą skórą z piersi. Skórę tę następnie oddawano do garbowania w Monachium, a gdy była już wyprawiona, więźniowie w obozie robili z niej oprawy książek, albumów i pamiętników, umbry do lampy i portfele damskie i męskie z zachowaniem wszelkich ostrożności, by tatuaż w pełni ukazać się mógł jako pożądana ozdoba.

Tłum pod wieżą zdawał się być opętany na widok Bötchera. Ludzie wznosili ramiona w górę o zakrzywionych palcach, darli nimi powietrze, krzyczeli bez przerwy, charczeli już z wysiłku, a oczy ich... Chryste Boże, te oczy !... wyłaziły im z orbit, przekrwione, znieruchomiałe i na równi z ustami krzyczące o zemstę !...

Bötchera nie wydano w ręce tłumowi. Zbyt łagodna byłaby jego kara.

Bötcher musiał przechodzić to wszystko, co więzień przechodził w obozie. Tylko w tempie przyspieszonym. Robili to już żołnierze amerykańscy, mający w oczach wciąż jeszcze widok tamtych 48 wagonów trupów na stacji w Dachau i ten olbrzymi zwał trupów pod krematorium obozowym. Pod koniec przyprowadzono go pod krematorium i kazano mu składać owe trupy na wóz. On je nosił i płakał. Prosił o dobicie. Prosił w końcu o maskę i rękawice. Trupy były już bowiem w rozkładzie i rozlatywały mu się w dłoniach.

— Nie otrzymasz ani maski ani rękawic — odpowiadano mu. — Tyś pomordował tych ludzi, więc teraz ich pogrzebieś uczciwie !...

— Dobijcie mnie... — skamlał ślaniający się już cień Bötchera.

W odpowiedzi otrzymał uderzenie pięścią w szczękę. Pilnujący go żołnierz amerykański celował w tych uderzeniach. Potem kopnięciem zmuszał go do powstania. Podobnie, jak to on czynił z nami.

W końcu Bötcher zwariował.

Wtedy powieszono go na tej samej szubienicy, na której on wieszał więźniów.

Lecz pod ścianami krematorium wciąż jeszcze gnęła olbrzymia kupa trupów. Wtedy spędzono chłopów niemieckich z okolicy, z końmi i wozami, i polecono im wywozić je do olbrzymiej wspólnej mogiły. Przyjechali i stanęli w zdumieniu przed swym strasznym żniwem. Ktoś z nich rozplakał się.

— Teraz, szubrawcy, płaczcie !... — wytykali im żołnierze amerykańscy. — A to przecież wasza robota !..

— Myśmy nie wiedzieli !... Myśmy nie wiedzieli, że coś podobnego działo się w obozach ! — skamlali pokornie, z obłąkaniem w przerażonych ślepiach.

Brali je więc za ręce i za nogi, nieśli w milczeniu, ponury, i rzucali na wóz. A gdy wóz był pełny, wieźli za obóz do wspólnej mogiły.

Przypominasz sobie, Władko, ten szczegół z „Przedwiośnia” Żeromskiego, kiedy opisuje podobną scenę ? Na wózku leżą sztywne zwłoki więźniów, wózek ciągną żywi jeszcze towarzysze, a wyciągnięte ramię jednego z trupów sięga palcami szprych toczącego się koła. Koło toczy się powoli a palce skaczą po szprychach. Owa scena była tak wstrząsająca, że przez kilka dni wciąż ją widziałem. Podczas snu i na jawie. A nigdy nie przypuszczał, że te same sceny, zestokrotnione w swej grozie, będę kiedyś widział

w obozie, niemieckim, i że mi do tego stopnia spowszednieją, iż przejdę koło nich obojętnie.

Ostatni raz przeżyłem jednak ten sam wstrząs, co przy czytaniu „Przedwiośnia”, kiedy patrzyłem na wozy niemieckich chłopów, wyjeżdżające z transportem z bram krematorium. Sztywne ramiona sterczały z wozów, groziły niebu, słońcu i nam żywym, albo też wlokły się po ziemi i zgarbiały palcami pył ze swej drogi. Jeden raz tylko zauważyłem, że wyciągnięte, chude ramię dotyka koła, a palce skaczą po szprychach, jak u Żeromskiego w „Przedwiośniu”.

I na tym kończy się ostatni rozdział moich przeżyć obozowych.

W drodze do Francji jechałem przez Szwajcarię. I tutaj po tylu latach spotkałem znowu ludzi, którzy umieli się uśmiechać tym uśmiechem ogromnie prostym i ogromnie ludzkim, którzy podchodzili do nas, jak podchodzi dobry człowiek do człowieka chorego, którzy mieli dla nas słowa dziwnej treści i pełne dziwnego serca, których myśli wyczuwaliśmy, jak pogłaskanie dłonią matki po twarzy... Spotkaliśmy po tylu latach ludzi innych, tak bardzo innych, pełnych jasności i dobroci, że wydawało się nam, iż to cudaczny majak, że to jakieś słodkie złudzenie, z którego zbudzi nas za chwilę brutalne kopnięcie „esmańskim” butem. Chciało się iść do tych ludzi w Szwajcarii, ująć ich za dłonie, popatrzeć głęboko w ich ogromnie ludzkie oczy i powiedzieć prosto: — Bóg wam zapłać!... — i nic więcej.

Życzliwi Francuzi udzielili nam serdecznej gościny u siebie. I za to im „Bóg zapłać!”

A dzisiaj, kiedy napatrzyłem się do syta w Alpy i w roz-wieszony błękit ponad nimi, kiedy nasłuchiwałem się do syta ciszy sionecznej i ciszy księżycowej pod starą morwą, wypada mi znowu pójść w świat. Stąd ten ostatni list do Ciebie, Władko.

Lecz widzę, że wszyscy stąd odchodzimy, jako kaleki. Jak żołnierz, który stracił rękę czy nogę na wojnie, tak i my zatraciliśmy coś ze swej wewnętrznej istoty w ciągu tych przeszło pięciu lat w obozach.

Czujemy pustkę koło siebie, czujemy pustkę w sobie. Doznajemy wrażenia, że znajdujemy się w bolesnej próżni. Pustkę wypełniamy marzeniami, lecz jakież one biedne i również kalekie!...

Najboleśniejszym może to dla nas, — jeżeli ktoś z nas wierzącym — że już nie umiemy się modlić. Bo gdy ktoś z nas zacznie odmawiać w chwili wzruszenia tę najpiękniejszą modli-

twę, jaką kiedykolwiek człowiek wyszeptał, „Ojcze nasz, który jesteś w niebie”, to spostrzeże, iż tak trudno wypowiedzieć szczerze tamte słowa: „... i odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom !”

Słowa te są dla nas, jak kamień na prostej drodze, a na którym boleśnie się potykamy. Na słowach tych załamujemy się i nie kończymy zaczętej modlitwy.

Lecz podobnie, jak w obozie miał człowiek wiarę, iż przyjdzie dzień wyzwolenia, a wiara ta utrzymała go przy życiu, tak i teraz pragnie mieć tę wiarę, iż może kiedyś przyjdzie chwila, taka dziwnie radosna, cicha, pokorna chwila w życiu, kiedy będzie mógł wyszeptać owe proste słowa : — „... i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom !”

K O N I E C

Biviers, sierpień-wrzesień 1945.